

Dla uczczenia 49 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej publikujemy wiersze współczesnych poetów radzieckich. Wprawdzie nie wiążą się one tematycznie bezpośrednio z wydarzeniami dni Października, ale ich temperatura uczuciowa i zaangażowanie uczuciowe wypływają z ducha Rewolucji. Anna Achmatowa i Maksym Rylski reprezentują starsze pokolenie twórców, a Tatiana Żyrmunskaja jest przedstawicielką młodych, którzy weszli do literatury po 1956 roku.

Niedawno zmarła Anna Achmatowa rozpoczęła twórczość poetycką jeszcze przed Rewolucją Październikową jako przedstawicielka akmeizmu. Mimo iż nie od razu oswoiła się z władzą ludu w Związku Radzieckim, miłość do ojczystego kraju przywiodła ją do szeregu zaangażowanych poetów radzieckich.

Maksym Rylski — zmarły w 1964 roku, wybitny poeta ukraiński wiele miejsca w swej twórczości poświęcił narodowi i literaturze polskiej. Swą poezją i działalnością przekładową pracował całe życie nad zbliżeniem narodu polskiego i ukraińskiego.

Tatiana Żyrmunskaja ur. w 1936 r. debiutowała tomem poezji pt. „Krag mojej miłości” w 1962 r. Jest przedstawicielką młodego bezkompromisowego pokolenia twórców, któremu drogę w przyszłość otworzył Październik.

Anna Achmatowa

ZIEMIA OJCZYSTA

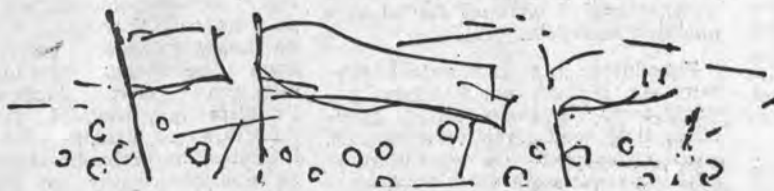
Świat nie zna ludzi równie twardych,
I niedostępnych, i prostych...
(1922)

Krzykliwych wierszy jej nie poświęcamy,
Na piersi nie nosimy w medalionach,
W nasz gorzki sen nie wdzierają się nocami
I nie jest dla nas rajem utraconym,
I nie czynimy jej także przedmiotem
Ni kupna, ni sprzedaży bez sumienia.
Trudząc się na niej, oblewając potem,
Nie wspominamy nawet jej imienia.

Ona dla nas — to szlam pod nogami,
Piach, co zgrzyta w zębach ściśniętych,
Tratujemy go, mlemy, deptamy —
Szary proch, bezimienny i święty.

Lecz kładziemy się do niej, by się w jedno z nią spojść,
I dlatego tak łatwo nazywamy ją swoją.

Przełożyła DANUTA WAWIŁOW



Maksym Rylski

DO BRACI POLAKÓW

Słyszysz? — Skroś noc spowitą w fale
Echo odpowiedź daje echu,
Słyszysz — jak głosy huczą w dali,
Bijąc o ciemny granit wieków?
Słyszysz? Podobny surmy dźwiękom
Nad morzem glos Byrona krąży,
Stanął z wzniesioną dumnie ręką
Puszkina — jak pieśń odlana z brązu.
Spójrz — na „Trybunę Ludów” wchodzi
Mickiewicz z natchnionymi słowy,
Ludzkości wzbudzający podziw,
Szewczenki wieniec łni cierniowy.
Oto grzmi wszystkim ludom bratnim
Płomiennoskrzydły śpiew pieśniarzy:
„Wszyscy do walki, w bój ostatni,
Z przemocą katów i zbrodniarzy”.
„Wszystkie narody i plemiona
Na bój o słońce, o wiatr dźwięczny!
Siło, braterstwem uskrzydłona,
Wroga dobijaj! Zginie nędzny!”
Wróg jest samotny w nienawiści,
Blisko, już blisko nasza zorza.
Wkrótce się wolność ludów ziści,
Spłynie na ziemię i na morza!”

Przełożył LEON PASTERNAK

Tatiana Żyrmunskaja

BEZSENNOŚĆ

Mój ojciec cierpi na bezsenność:
Jak nocny ptak w fotelu drzemie
Lub waży coś, wpatrzony w ciemność.
Ja śpię, choć dręczy mnie sumienie,
Lecz noc silniejsza jest ode mnie
I jest on sam w czas tych dyżurów.
W pokoju księżyc wisi nad nim —
Zielone koło abażuru.

Przemija noc, a on nie zaśnie.
Jak długie, długie to czuwanie!
A ta bezsenność — to ja właśnie,
Moje nieróbstwo maskowane.
Wiem, że za sobą mam niewiele,
Wciąż zamierzenia,

zamierzenia...

Ale czy życie samodzielne
To ruble z list uposażenia?
Mam często tylko dobre chęci,
Nie cieszę ojca prawie niczym.
Lecz co dzień aż do zachrypięcia
Gotowam z jego prawdą bić się:
„Nie kracz! Nie rób mi scen rozpaczy!
Nie leżę w grobie!
O człowieka
Należy troszczyć się inaczej.
Zbyteczna mi jest twa opieka.
A czasy wasze — niedojrzale...
Nam

inna marzy się dojrzałość...”

Nie! Nie tak mówię, jakbym chciała —
Nazywam czarnym to, co białe!
Ale ze sporów tych wynika
Jedno: że ojciec we mnie znalazł
Godnego siebie przeciwnika,
Jakby nie on

— ja w ranach ciała,

Obuta w pełne krwi onuce,
Jakbym to ja szła z tym wezwaniem:
„Śmierć białym!”
I „Czerwoną chwała!”
I moja krew spryskała ściany
Bugulmy i Bugurustanu.
Ojcowie,

co dawnymi rany

Niby wyrzutem nas klujecie —
Mnie boli wasze pojednanie
Z pustym spojrzeniem waszych dzieci.
Tak, osadź mnie, mój ojciec, drwiną!
Wiem, że się bronię bardzo głupio...
Lecz ojciec tylko głową skinął
I odpowiedział — mówił głucho:
„Spędzam swą każdą noc

w udreće.

Nęka mnie czarnych myśli mrowie.
Wiesz co,

nie klóćmy się już więcej

Wy macie rację

— nie ojcowie”.

Przełożył ZYGMUNT BRAUDE

Julian Woźniak

„ZA DUŻO DOBREGO”

(Na marginesie Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych)

W województwie rzeszowskim znane są piękne tradycje umiłowania ludowych pieśni i tańców. Bogactwo naszego regionu, a raczej regionów, jest pod tym względem przegromne. Stanowi jakże obfite źródło, z którego działające na naszym terenie zespoły artystyczne czerpią materiał do swych programów, wciąż wyszukując i udostępniając miłośnikom folkloru nowe nieznanne perełki. Zachowują je tym samym od zapomnienia, a przy wszelkich ocenach i przeglądach te twórcze ambicje są szczególnie wysoko punktowane.

W tym względzie już od dłuższego czasu daje się zresztą słyszeć niezbyt zgodny dwugłos. Jedni uważają, że wartość ma tylko autentyczność, to co jest oryginalne, pozbawione wszelkiego wyuczenia. Drugi natomiast wysoko ceni stylizację. A cały sęk w tym, że nigdy nie wiadomo, którego z tych kierunków zwolennicy zasiadają w komisji oceniającej.

Toteż z ogromnym zainteresowaniem śledziłem ostatnio na scenie Zakładowego Domu Kultury WSK w Mielcu przebieg wojewódzkiego przeglądu zespołów pieśni i tańca, zorganizowany w ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych. Na mieleckiej estradzie zaprezentowały się bowiem najlepsze zespoły naszego województwa. I to bynajmniej nie na jakimś tam przeglądzie pozbawionym cech rywalizacji. Chodziło tu przecież o wysoką stawkę, o miano najlepsze-

go, o prawo reprezentowania województwa na przeglądzie centralnym festiwalu, w gronie najlepszych w kraju. Atmosfera była więc w mieleckim ZDK napięta, rzekłbym nerwowa. A gdy komisja konkursowa powołana przez CRZZ, na której czele stanął kompozytor mgr Adam Świerzyński, bardzo wysoko wypunktowała pierwszy z występujących zespołów, zespół pieśni i tańca z Gaci pow. Przeworsk — właśnie za autentyzm — temperatura przeglądu wyraźnie podskoczyła. A co będzie, gdy wystąpią „Rzeszowiacy” z Mielca, „Lasowiacy” ze Stalowej Woli czy znany zespół Fabryki Obuwia z Krosna? Czy dla nich starczy punktów?

Nie wyprzedzajmy jednak faktów! Pozwolę sobie przeto zaprezentować krótko wszystkie sześć zakwalifikowanych do przeglądu wojewódzkiego zespołów w kolejności, w jakiej zespoły te prezentowały się mieleckiej publiczności.

Zespół Pieśni i Tańca GS „Sch” z Gaci, pow. Przeworsk. Dawne pieśni i melodie pielęgnuje już od 1930 roku. Początkowo działał przy kole ZMW „Wici”, a następnie przy uniwersytecie ludowym. Już w tym początkowym okresie daje występy dla robotników we Lwowie, Krakowie, Łańcucie i Przeworsku. Specjalizuje się w tańcach i inscenizacjach pieśni ludowych. W okresie powojennym zespół gacki kontynuuje raz obraną drogę swej działalności. Nasze ludowe pieśni i tańce już w 1948 roku zawozi na Ziemię Zachodnią, występując na

Wystawie Ziemi Odzyskanych we Wrocławiu. Aktualnie kierownikiem zespołu jest Eugeniusz Kuźniar, instruktorem Bożena Niżańska, a kierownikiem kapeli Jan Jakielaszek.

Zespół z Gaci zaprezentował sztukę ludową w najczystszej formie. Strona muzyczna nie wywołuje zastrzeżeń. Można by mieć pretensje do koncepcji inscenizacyjnej programu, ale z drugiej strony Bożena Niżańskiej chodziło tu właśnie o autentyczność, nawiązując do tradycji regionu... Wartość programu — isticie muzealna.

Zespół Pieśni i Tańca „Niegłowice”, Rafinerii Nafty Jasło. Kierownikiem zespołu Wanda Ryś, kierownictwo muzyczne Bolesław Pater, kierownik kapeli Stefan Jabłoński. I o tym zespole, oceniając jego udział w przeglądzie, należy mówić w superlatywach. W tym roku obchodził 15-lecie działalności. W ubr. otrzymał nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za osiągnięcia artystyczne. Program niegłowiczan cechował się również autentyzmem folkloru i dynamizmem. Świetna jest zwłaszcza wiązanka tańców rzeszowskich oraz bardzo dobry soliści. Zastrzeżenia budzić mogą jedynie niezbyt pasujące do reprezentowanego programu tańce lubelskie oraz... akordeon! Ten instrument nie wchodził do składu kapeli ludowej z Rzeszowskiego i pod tym względem słuszne były uwagi komisji, dbającej o czystość folkloru.

(Ciąg dalszy na str. 2)



Zespół Pieśni i Tańca GS „Samopomoc Chłopska” w Gaci.

FOT. JERZY OLMA

Antoni Jopek

RYWAL HENRYKA SIENKIEWICZA

(Rozważania o twórczości Zygmunta Kaczkowskiego w 70 rocznicę śmierci)

I

Po kilkunastoletniej przerwie w działalności pisarskiej Zygmunt Kaczkowski, przebywający od 1894 roku na emigracji (Wiedeń, Paryż), znowu sięgnął po laury beletrysty, by w „Grafie Raku” (1879) i w następnych powieściach o tematyce współczesnej doznać — gończych porażki.

W 1884 r. napisał powieść o powstaniu listopadowym pt. „Wasi ojcowie” (edycja książkowa 1892 r.). Czy „Wasi ojcowie” ze względu na niewielki dystans czasowy, dzielący powstanie utworu od relacjonowanych przez autora wypadków, są powieścią historyczną? Gdy Kaczkowski pisał „Wasyh ojców” minęło od przedstawianych przezeń faktów przeszło 50 lat, w ciągu których zaszło bardzo wiele zmian w Polsce i Europie. Zdażyli już wyemigrować główni aktorzy wypadków 1830 i 1831 roku. Pozostali przy życiu najmłodsi uczestnicy powstania przekraczali już siedemdziesiątkę.

Jeżeli przyjmiemy, że o oddaleniu danej epoki od współczesności decyduje nie tylko fizyczna ilość lat, ale nade wszystko ilość i ciężar gatunkowy minionych zdarzeń dziejowych, to uznamy „Wasyh ojców” za powieść już historyczną, tak jak historyczny byłby utwór napisany w 1966 roku, a ukazujący wypadki rewolucji 1905 roku, czy nawet pierwszej wojny światowej.

W zamierzeniu autora „Wasi ojcowie” mieli stanowić pierwszą część trylogii o polskich walkach narodowo-wyzwoleńczych w pierwszej połowie XIX wieku. W omawianej powieści skłonni jesteśmy widzieć (tym bardziej że dwa następną ozniwa nie zostały napisane) tematyczne przedłużenie cyklu nieuczynskiego i utworów z nim związanych. Autor wprowadza do pierwszej części „Wasyh ojców” sanocki region geograficzny (wieś Wiśłek i sąsiednie majątki szlacheckie). Twórca „Meza szalonego” nie sięgnął tym razem do sanockiego „młecznicza” (okolice Sanoka i Leska), lecz usytuował fabułę utworu na skraj „owsianej” krainy.

Ojciec Tomasza Wisłockiego — jednego z głównych bohaterów, brał udział, o czym dowiadujemy się z relacji streszczającej, w konfederacji barskiej, a potem z Francji, gdzie zamieszkał, wyruszał „dwakroć do Polski, aby się bić podczas ostatnich rozbiorów”.

Sam pan Tomasz z legionami i wojskami napoleońskimi przemierzał Europę. Marcin Nieuczyn mógł więc z obu Wisłockimi dzielić

twardy los żołnierza patrioty, walczącego na wszystkich frontach o niepodległość ojczyzny.

W „Wasyh ojcach”, w przeciwieństwie do wielu historycznych utworów z pierwszego okresu twórczości, wprowadza autor przedstawicieli także i ludowych warstw społecznych. Poza baronem Wisłockim, w powstaniu biorą udział: drobny ruski szlachetka sanocki — Czuby. Ciepło traktuje autor plebejską rodzinę Mroczków. Ojciec i syn śpieszą na pole walki. Dzielnie spisuje się w powstańczych bitwach chłopski syn Guła.

W analizowanej powieści występują przedstawiciele rozmaitych orientacji politycznych. Choć Kaczkowski nie potępia żadnego programu ideologicznego, to jednak najbardziej odpowiada mu „apolityczny” program zdecydowanej walki narodowo-wyzwoleńczej, reprezentowany przez Wisłockiego. Na przykładzie misji galicyjskiego hrabiego Łosia, pokazuje bezskuteczność dyplomatycznych poczynań, oderwanych od działań wojskowych.

Na tle sarmackich opowiadań i powieści Kaczkowskiego, „Wasi ojcowie” zaskakują swoją tematyką. Występuje autor jako znakomity malarz scen batalistycznych (np. bitwa pod Grochowem, Ostrołęką, obrona Warszawy). Potrafi wydobyc grozę i okrucieństwo walki. Zapowiada pod tym względem Stefana Żeromskiego.

W „Wasyh ojcach” deklaruje się pisarz jako rzecznik szlachecko-plebejskiej jedności w walce z czerem. Uważa wprawdzie szlachtę za hegemonia w tej walce, ale mocno akcentuje ludowy patriotyzm, ostro przeciwstawia kapitulancję reakcyjnych wodzów.

Powieść o powstaniu listopadowym, mimo pewnego niedowładu fabularyzacji, stanowi cenne osiągnięcie dorobku Kaczkowskiego. Autor podejmuje w „Wasyh ojcach” temat od wielu lat leżący odłogiem w naszej literaturze. Kaczkowski zaczerpnął podstawowe informacje o wydarzeniach 1830 i 1831 roku z pięciotomowej „Historii powstania listopadowego” Stanisława Barzykowskiego. Wyzyskał również zasłyszane wieści z lat swego dzieciństwa.

II

Historycy literatury zgodnie stwierdzają, że niebawym sukces „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza odegrał rolę artystycznego i psychicznego wstrząsu u Kaczkow-

skiego, bardzo wrażliwego, jeśli chodzi o uznanie osobiste. Twórca „Murdeliona” opublikował na łamach „Gazety Lwowskiej” i warszawskiego „Wędrowca” obszerną rozprawę, w której nader krytycznie ocenił dotychczasowy dorobek artystyczny autora „Szkiców węglem”, szczególną uwagę zwracając na „Ogniem i mieczem”. Niebawem podjął wyzwanie na gruncie prozy historycznej i napisał „Abrahama Kitaja, powieść z czasów króla Jana” (1886).

We wspomnianym utworze przedstawił Kaczkowski także i środowisko drobnej oraz średniej szlachty. Sanoczanin: Mieczko, Hołubowski, Rafał Kitajgrodzki, obaj Dzierżkowie nie wykraczają poza szlachecką, powiatową przeciętność. Nie wiele też mają okazji, aby uczestniczyć w akcji powieściowej. Osobne miejsce należy się tutaj Krzysztofowi Borowskiemu. Występuje on jako przeciwnik magnackiej samowoli i prywaty. Domaga się między innymi stałej armii, poddanej nieograniczonej władzy królewskiej. Potępia politykę szlachty wobec Kozaków, broni interesów chłopów. Nic więc dziwnego, że sanocki ideolog, napięty w walce z klasą społeczną, skazał się na „emigrację wewnętrzną” i odsunął się od sarmackich sąsiadów.

Zbrodniczy i z woli autora skazany na zagładę protagonista powieściowy, Abraham Kitaj, przedłuża listę rozdartych wewnętrznie, niedopasowanych do epoki osobników z niektórych opowiadań i powieści historycznych Kaczkowskiego sprzed 1863 r.

Kaczkowski próbuje „odbrzdusić” w „Abrahama Kitaju” Jana III Sobieskiego i tak organizuje materiał fabularny, aby przyćmić blask zwycięstwa wiedeńskiego. Korzysta też z każdej okazji, aby pokazać późniejsze klęski oręża polskiego. Lojalnie należy dodać, że pisarz nie obwinia Sobieskiego o polskie niepowodzenie militarne. Atakuje natomiast króla jako polityka.

„Abraham Kitaj” nie przyniósł autorowi rozgłosu. Kaczkowski nie zdołał skutecznie przeciwstawić się Sienkiewiczowi jako artyście i stworzyć nowego modelu powieści historycznej. Wiąże on w dalszym ciągu tradycję gawędy szlacheckiej z techniką skotowską. Wprowadza do powieści pierwiastki sensacyjne i awanturyczne. Krytycznym pisarza wobec szlachty ulega pogłębieniu. Na dopowiedziane w epilogu dramatyczne losy powieściowych bohaterów pada smuga cienia. Kaczkowski nie napisał przecież powieści „dla pokrzepienia serca”.

III

Z zamiarem napisania powieści o czasach Jana Olbrachta nosił się Kaczkowski od dawna. Już w 1853 roku zbierał potrzebne materiały historyczne i studiował źródła, odnoszące się do tej epoki naszych dziejów. Z rozmaitych powodów realizacja artystycznego zamysłu uległa zwłoce.

Kaczkowski nie zrażony niepowodzeniem „Abrahama Kitaja” próbuje jako artysta i ideolog przeciwstawić się jeszcze raz autorowi „Potopu” w „Olbrachciowych rycerzach” (1889). Twórca „Grobu Nieczu” w przeciwieństwie do sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem”, kreśli w swoim dziele rozległy obraz społeczeństwa polskiego z końca XV wieku. Wprowadza na karty powieści galerię rycerstwa polskiego, możnowładców, mieszczan oraz duchowieństwo. Przedstawia również środowisko dworskie z królem Janem Olbrachtem na czele. Po staremu wiąże niektóre wątki powieściowe z Sanoczczyzną.

Nienadaremnie Kaczkowski wybrał schyłek XV stulecia za kanwę zdarzeń fabularnych. Okres ten miał przełomowe znaczenie dla przyszłych dziejów Polski. Na sejmie piotrkowskim (1496) stanowią egiptizm szlachecki, co autor wielokrotnie podkreśla, zalegalizował przypisanie chłopów do ziemi i wydatnie ograniczył prawa społeczne oraz polityczne mieszczan. Pokazuje pisarz narodziny szlacheckiego parlamentaryzmu, ale bynajmniej nie entuzjastycznie przywołując „dobre urodzonych”.

Dramat historii widzianej przez Kaczkowskiego w „Olbrachciowych rycerzach” polega na tym, że rycerstwo, które zarówno w Polsce, jak i w Europie, przeżyło już swoje apogeum i którego społeczną funkcja staje się coraz bardziej problematyczna, a nawet szkodliwa, uzurpuje sobie i, co gorzej, zdobywa nadrzędne stanowisko w społeczeństwie, wyszukuje je w celu uciecienia chłopów i zlamania mieszczan. Nic dziwnego, że autor w

ujemnym świetle (z nielicznymi wyjątkami) przedstawia szlacheckich bohaterów. Świadomie przeciwstawia się sienkiewiczowskiej idealizacji „rycerzy-ów” z „Trylogii”. Natomiast dużym uznaniem Kaczkowskiego cieszy się mieszczaństwo jako klasa społeczna pomnażająca dochód narodowy. Przedstawiciele tego stanu, to bez wyjątku ludzie pracowici, uczciwi i pożyteczni. Autor nie doprowadza do jawnego konfliktu szlachty i mieszczaństwa. Przedstawia bowiem przede wszystkim patrycjat lwowski, który dzięki zdobytym bogactwom, mógł przenikać bez trudu do warstwy szlacheckiej, a w każdym bądź razie z nią współżyć.

W spuściźnie beletrystycznej Kaczkowskiego „Olbrachciowi rycerze” stanowią piękny przykład przekształcania się warsztatu pisarskiego, początkowo bardzo tradycyjnego, a potem coraz bardziej usamodzielniającego się i osiagającego własny, indywidualny wyraz.

W „Olbrachciowych rycerzach” próbuje autor odnowić polską powieść historyczną. Jakkolwiek Sienkiewicz odświeżył artystycznie stary romans sensacyjny — awanturyczny, to jednak „Trylogia” tkwiła mocno w tradycjach gawędy szlacheckiej. Kaczkowski nie przewyższył twórcy „Potopu”, ale w rezultacie artystycznej rywalizacji powstało dzieło wybitne, a jego autor z powodzeniem wystąpił w zaszczytnej dlań roli współzawodnika Henryka Sienkiewicza.

IV

Powieści historyczne zapewniły Kaczkowskiemu wybitne miejsce w literaturze polskiej. Uchodzi on za najznakomitszego, obok Kraszewskiego, przedstawiciela polskiej prozy historycznej przed Sienkiewiczem.

Uważamy go również za największego piewę ziemi sanockiej, której niepowtarzalne piękno potrafił jak nikt przed nim i po nim w swoich opowiadaniach i powieściach przedstawić. Na tle „owsianej” krainy, w sposób niesłychanie sugestywny nakreślił sceny z życia „rogatej” szlachty sanockiej, której mentalność, moralność i obyczajowość w dobrym i złym słowa tego rozumieniu stanowiły swoistą kwintesencję osiemnastowiecznego sarmatyzmu.

Musimy surowo oceniać życie autora „Braci ślubnych”, ale nie możemy negować jego zasług dla rozwoju literatury narodowej.

Dlatego też z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego i kultury polskiej, a także w związku z siedemdziesiątą rocznicą śmierci Zygmunta Kaczkowskiego (zmarł w Paryżu 7 IX 1896), staraliśmy się najcenniejsze wartości jego dorobku twórczego przypomnieć i tym samym zachęcić Czytelników do lektury dzieł znakomitego pisarza, zwanianych od kilku lat przez krakowskie Wydawnictwo Literackie.

„Za dużo dobrego”

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Zespół Pieśni i Tańca Domu Kultury Górnik-Naftowca Gorlice.

Kierownik zespołu — Henryk Kuś, kierownictwo muzyczne Franciszek Przepióra. Najbardziej oceniony zespół mielecki przegladu. Zaprezentowany program, poza dużymi walorami strony muzycznej, pozbawiony był jakiegokolwiek koncepcji inscenizacyjnej. To raczej dwa oddzielne zespoły: chór i orkiestra oraz zespół taneczny. Choreograf, który opracował program poszedł na efekciarstwo, zapominając o czystości układów tanecznych, fałszując tradycyjne formy tańca ludowego. W sumie zespół na dorobku, materiał dobry i nowy choreograf ma tutaj duże pole do popisu.

Zespół Pieśni i Tańca Fabryki Obuwia Sportowego z Krosna. Kierownik Józef Słowik, inscenizacja i choreografia Henryk Duda, kierownictwo muzyczne Leopold Guzik. Kiedyś krośnianie cieszyli się ogromną popularnością, której ukoronowaniem były koncerty na trzech festiwalach młodzieży i studentów w Berlinie, Warszawie i Moskwie. Ostatnio przez kilka lat było o nich raczej cicho, aż dopiero Festiwal Kulturalny Zawodowych ponownie wywindował ten świetny zespół do wojewódzkiej czołówki. Występ festiwalowy był w pełni udany. Staranne przygotowanie całości. Bardzo dobry układ widowiskowy programu pod względem reżyserskim. O-

bok programu gackiego również perełka folkloru. Wspaniałe barwne stroje, w pełni udane solowe występy instrumentalne (fujarka, cymbały, flet i okaryna). Duże, duże brawa mieleckiej publiczności szczerze wypełniającej salę ZDK — w pełni zasłużone.

Zespół Pieśni i Tańca „Lasowiaczy” Zakładowego Domu Kultury Huty „Stalowa Wola”. Kierownictwo artystyczne — Józef Żmuda, choreografia — Igo Wachowiak, kierownictwo muzyczne — Tadeusz Chachaj, dyrygent — Alojzy Szopa. Typowy zespół pieśni i tańca — konsekwentny w swym wyrazie. Program, jaki zobaczyliśmy, odznaczał się szlachetną stylizacją w muzyce i tańcu. Same superlatywy o wyrazie artystycznym i sprawności technicznej zespołu. Pochwała za szukanie nowych dróg i popularyzację nowych nieznanych tańców regionu lasowiaczkiego (m. in. taniec flisacki). Najwyższa ocena (91 punktów możliwych do uzyskania) świadczy niewymownie o wysokim poziomie artystycznym stalowowskiego zespołu.

Wreszcie — Zespół Pieśni i Tańca „Rzeszowiaczy” Zakładowego Domu Kultury WSK Mielec. Kierownik — Janusz Meza, choreograf Kazimierz Redzisz, dyrygent chóru — Jerzy Kopcewicz.

Największa niespodzianka przegladu — komisja nie zakwalifikowała „Rzeszowiaczków” do przegladu centralnego. Ten ze wszech miar

doskonały zespół, mający w swym repertuarze świetnie opanowany program „Nasza pieśń, nasza myśl, nasza praca” był — jak to się określa w żargonie sportowym — pewniakiem. Nazwiska tak znanych choreografów jak E. Papiłowski, E. Kamińska, B. Nizańska, czy K. Redzisz, którzy są autorami programu, mówią przecież same za siebie. Mielecki zespół — moim zdaniem — popełnił jednak zasadniczy błąd. Podczas gdy wszystkie inne zespoły prezentowały na przegladzie krótkie skondensowane programy, trwające 40 do 50 minut — mielczanie, kończący przeglad, dali pełny dwugodzinny spektakl. Poszli na duży rozmach, pociśnili na gaz, lecz w tym momencie dała o sobie znać najzwyczajniejsza... trema! Komisja dostrzegła wysypkę i... znalazła się w niezbyt miłej sytuacji, kiedy należało podjąć decyzję, kogo wydelegować na przeglad centralny.

W sumie uznano — z czym się ja osobiście nie zgadzam — że program opracowany przez kilku choreografów na raz — jest programem... niejednorodnym! Owszem, stwierdzono zgodnie, że „Rzeszowiaczy” są zespołem świetnie roztanecznym, program jest doskonały, widowiskowy, uwzględnia tematykę robotniczą (tańce tematyczne i pieśni), tylko — jak określili przewodniczący komisji: „Nie można trwać w oszołomieniu przez dwie godziny i w programie mielczan było za dużo „dobrego”.

Województwo rzeszowskie będzie więc reprezentowane na przegladzie centralnym przez „Lasowiaczków” ze Stalowej Woli oraz przez zespół z Krosna.

JULIAN WOŹNIAK



Are Carousse

RYS. E. KIEFERLING

KOMENTUJĄC nieustające dyskusje o młodzieży, ktoś żartobliwie użył określenia: „tajemnica pokolenia”. Rzeczywiście, wiedza o nim nie jest imponująca, nie wykracza w zasadzie poza opłotki utartych, szablonowych ocen. Traktowanie młodzieży w sposób wyobcowany ze społeczeństwa traci sens, bo wówczas z pola widzenia znika wiele spraw, które albo umiejscawia się na marginesie, albo ów „margines” bywa uogólniany. W wypadku jednej i drugiej skrajności łatwo o fałszywe poglądy, a co ważniejsze — dyskusji o młodym pokoleniu nie wieńczy konkretny program działania.

Ważny chociażby zagadnienie demoralizacji młodzieży w szerokim tego słowa znaczeniu. Statystyki milicyjne wykazują stały wzrost przestępczości, my zaś na co dzień jesteśmy świadkami zachowania, które wprawdzie nie zawsze jest sprzeczne z prawem, lecz wywołuje sprzeciw, niezadowolenie, irytację... Narzekamy więc na rozwyrżenie, łamanie zasad społecznego współżycia, swoistą podkulturę młodzieży.

Uczestniczyłem ostatnio w kilku zebraniach poświęconych wychowaniu ujmowanemu w różnych aspektach. Wśród wielu spraw referaty wzmiankowały o młodzieży trudnej, a rozmiary zjawiska obrazowały dane ze statystyk milicyjnych i sądowych. Problem podejmowali także niektórzy dyskutanci. Jedni twierdzili, że jest źle, gdyż przestępczość wykazuje tendencję rosnącą, pojawia się nawet w środowiskach, w których uprzednio nie występowała. Zdaniem innych, nie ma powodu do alarmu, bo w konflikt z prawem popada niewielki odsetek młodzieży; w jej obronie przytaczano i taki argument: „Wskaźnik przestępczości wśród dorosłych jest przecież o wiele większy”.

Niektórzy uparcie nie chcą dostrzec rozmiarów zagrożenia: sięgając do statystyk twierdzą, że w innym mieście czy powiecie jest gorzej... Istotnie, w rejonach mniej zurbanizowanych wskaźnik przestępczości nieletnich jest znacznie niższy, ale np. na wsi tempo jej wzrostu bywa nawet szybsze niż w wielu miastach. Jak wyjaśnić to zjawisko: nasila się demoralizacja i przestępczość, czy też wykroczenia są skrupulatniej rejestrowane?

Na zebraniach, w których uczestniczyłem, zarysowały się trzy zasadnicze stanowiska, trzy punkty widzenia: szkolnictwa, organizacji społecznych oraz organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości. Mówiono o młodzieży, ale jakże odmiennym językiem, na plan pierwszy wysuwano zupełnie odmienne problemy.

W interesującej nas kwestii najwięcej mają do powiedzenia przedstawiciele milicji, którzy zazwyczaj przestępczości nie traktują jako zjawiska marginesowego. Zagadnienie nie to ukazuje na szerszym tle, przestrzegają, by nie sugerować się zbyt liczbnymi zarejestrowanymi wykroczeniami. Czasami prowokują do merytorycznej wymiany poglądów, krytycznie oceniając działalność instytucji i organizacji odpowiedzialnych za wychowanie młodzieży. Przemówienia funkcjonariuszy MO bywają z uwagą słuchane, nie rzadko wzbudzają poruszenie, zwłaszcza jeśli mówca ilustruje swą wypowiedź przykładami, które przy odrobinie wyobraźni mogą posłużyć za osnowę opowiadania z drszczykami lub powieści kryminalnej.

Dla przykładu: w jednym z miast trzech znudzonych życiem młodzieńców ma wspólną „blondmewkę”. Chłopcom sprzykrzyła się codzienność urozmaicona jedynie biciem przechodniów bez powodu; szukają więc mocniejszych wrażeń, a mając młodą blondmewkę, o atrakcje niekiedy, bo łasych na jej wdzięki jest wielu. Kokietuje upatrzonego mężczyznę, bezinteresownie idzie z nim za miasto... Za nim podąża trzech rycerzy. Zamiast spodziewanej przyjemności, niefortunnego amanta czeka ciężkie pobiecie.

Podczas śledztwa jeden z chłopców występuje z pretensjami: — Przecież już siedmiu pobiliem, dlaczego akurat teraz mnie aresztujecie. Milicji argument nie trafia do przekonania. Biedny młodzieniec sięga więc do innego. — Rodzice mnie źle wychowali, tatuś dawał pieniądze, nie rozliczał wydatków, nie kontrolował, a teraz to ja mam cierpieć.

Innemu z zatrzymanych w sukurs przychodzi matka. Do późna w nocy przekonuje komendanta MO, że w jego interesie leży pouczenie podległych mu funkcjonariuszy jak mają traktować chłopca. Mamę rozszedrzyły postawy; miejscowa milicja w obawie przed ewentualnym zawłaszaniem aresztu, zatrzymanych chuligańskich poddaje temu zabiegowi, jeśli lekarz stwierdzi, że stan czystości głowy budzi zastrzeżenia.

Przytaczam przykład nie najdrastyczniejszy, na zebraniu tym komendant MO mówił o gorszych ekscesach aniżeli wycyzy aktorów młodej córy Koryntu, wskazywał na wiele przejawów niewłaściwej postawy rodziców, ale tezy wystąpienia oficera milicji nie zostały podjęte przez innych uczestników posiedzenia, na którym omawiano całokształt działalności ideowo - wychowawczej wśród młodzieży powiatu.

Kto właściwie miał zająć się tematem nieletnich — uwzględniając kilkunastuosobną resztkę młodzieży uczącej się i pracującej — grup zdemoralizowanych, młodych ludzi? Wspomniani bohaterowie milicyjnych kronik są poza zasięgiem oddziaływania i chyba zainteresowania organizacji młodzieżowych. Nie byli także uczniami, wykraczają zatem poza kompetencje szkoły, która zresztą ma sporo innych kłopotów. Aktywistów społecznych interesowały problemy natury ogólniejszej. W efekcie zagadnienia młodzieży trudnej — pozostającej w kręgu demoralizujących wpływów, w końcu przestępczej — zeszły na margines. To przecież nie wielki odsetek, w wielu środowiskach tylko jednostki. W ostateczności zajmie się nimi milicjant, prokurator, sędzia...

— Organizacje i instytucje odpowiedzialne za wychowanie młodzieży — mówi komendant wojewódzki MO płk Kazimierz Ochecki — odwracają się od jednostek trudnych, zabiegają o izolowanie zdrowych moralnie od elementów zdemoralizowanych, które pozostawia się organom ścigania. Twierdził również, że milicja w swej działalności profilaktycznej napotyka wiele trudności, a nawet niezrozumienie. Jeśli np. uczeń — jak to się zwykło mówić — miał coś wspólnego z MO, to niezależnie od wagi przewinienia, bywa przez wychowawców traktowany niższym potencjalnym przestępcą, natomiast w kręgach koleżeńskich uchodził nieraz za bohatera. — Musimy czasem — kontynuuje płk Ochecki — dla dobra chłopca wycofować nasze pisma informujące szkołę o wykroczeniu.

Pułkownik Ochecki na plenum Komitetu Wojewódzkiego partii z niepokojem mówił o nierozważnym pozbawianiu się trudnych uczniów, a przecież nowe przepisy prawne przewidują, że drobne wykroczenia będą rozpatrywać nie sądy, lecz szkoły. Ciekawe jakby zareagowali na te oceny pułkownika Ocheckiego nauczyciele, jeśli by np. któryś z zarządów ZNP zorganizował z nim spotkanie; obecni na plenum reprezentanci szkolnictwa w szranki z nim nie stanęli, choć



zachęcał, powiedziałbym nawet — prowokował kontrowersyjnymi ocenami. A sprawy bynajmniej nie są proste. Słyszysz również o pretensjach do milicji: za opiekałość, funkcjonariuszy lub nieumiejętne podejście do młodych...

Zainteresowany sprawami podniesionymi przez komendanta wojewódzkiego MO chciałem skonfrontować spojrzenie szkoły i milicji na zagadnienie demoralizacji młodzieży. Wybrałem się do Tarnobrzega, chociaż płk Ochecki radził mi „zająć się” innym miastem, gdzie zjawisko zagrożenia młodzieży przybrało poważniejsze rozmiary. Mnie jednak chodziło właśnie o rejon szybko rozwijający się, w którym — sądziłem — zobacze w całej okazałości współzależność między urbanizacją i industrializacją a procesami dezintegracji.

Kilka uwag o specyfice tego regionu. Tempo przeobrażeń społecznych wyznacza uprzemysłowienie, zwłaszcza eksploatacja i przetwórstwo siarki. Kombinat pod każdym względem wywiera przemysłowy wpływ na miasto i okolice. Przede wszystkim dzięki sclarce zwiokrotniła się liczba mieszkańców Tarnobrzega, w którym osiedlili się ludzie z różnych dzielnic Polski: fachowcy, wybitni nieraz specjaliści, a także szukający zarobku lub tylko przyciągnięci. W Tarnobrzegu panuje pogląd, że zatarły się już dawne różnice, nie ma „tubylców” i „siarkowców”.

W porównaniu z innymi wielkimi budowlami, krótszy i na pewno mniej burzliwy był okres kształtowania się nowej zbiorowości; stabilizacja w Tarnobrzegu następuje szybciej. Jeśli zaś chodzi o skutki ekspansji siarki dla ludności wiejskiej, to niebagatelne znaczenie miało wcześniejsze zetknięcie się z przemysłem; tarnobrzezkie wsie były już uprzednio w kręgu oddziaływania Stalowej Woli, Nowej Dęby czy Gorzyc. Dwie kultury: przemysłowa i tradycyjnie wiejska już od dawna wzajemnie się przenikały. Jest sprawa badacza udokumentowana, w jakim stopniu połączyły się niejako we wspólny nurt skutki typowe dla nowo powstających okręgów przemysłowych ze specyficzną tradycją niektórych wsi tarnobrzezskich, zwłaszcza cieszących się złą sławą wsi bandyckich, złodziejskich.

Mnie osobiście nie przekonują twierdzenia, że odmienność tych wsi jest spowodowana domniemanym tatarskim pochodzeniem jej mieszkańców, aczkolwiek sami twierdzą, że skłonności do posługiwania się nożem odziedziczyli po przodkach; wzmówiono im, a przynajmniej dostarczono efektywnie brzmiącego argumentu. Wdźcigany temat dla etnografa i socjologa. Zresztą w tym rejonie przez lata pracował zespół z Muzeum Okręgowego pod kierownictwem docenta Franciszka Kotuli; wyniki tych badań o ile mi wiadomo, nie zostały jeszcze w całości opublikowane, a mogłyby być cennym punktem wyjścia dla socjologów.

Dawne że tradycje nie bez rezultatów łamię szkoła, lecz zdarzyło się, że dom jednego z nauczycieli poszedł z dymem; podpalania są jeszcze nadal metodą załatwiania porachunków.

Pozornie tylko odbiegam od tematu. Od 1958 roku w Tarnobrzescu przestępczość wśród młodzieży rośnie; komendant powiatowy MO mjr Lechowicz twierdzi, że zagrożonych jest 2 proc. młodzieży w wieku do 21 roku życia.

Kim są nieletni przestępcy? Przeważnie chłopcy, którzy zakończyli swą edukację na szkole podstawowej. Sporo z nich wywodzi się z podmiejskich wsi: Mokrzeszowa i Stal. Mokrzeszów przylega do Tarnobrzega; kilka (?) dziewcząt zawodowo dostarcza uciechy przybyłym tu za pracą. Wieś Stale, której mieszkańcy są podobno potomkami Tatarów, jest też bardzo niespokojna. Z jakiegoś powodu wybuchają pożary — nie wiadomo, kto zastrzelił konie nocą — też nie, ale wiadomo, że młodzieży przewożą uprzednio karani więzieniem; dla przypodobania się prowodyrom chłopcy z „czystą” przeszłością ze zdwojoną energią np. niszczyli sprzęt w miejscowej kawiarence...

Najpopularniejsze rodzaje przestępstw? Bójki i kradzieże, zwłaszcza mienia społecznego. Z wyjątkiem jednego włamania do stółki, kradzieże nie były dokonywane dla zaspokojenia elementarnych potrzeb, a więc nie kradną z biedy.

Oddzielnym zagadnieniem jest zachowanie, które nie nosi znamion przestępczości, lecz mimo to zakłóca spokój i porządek. — Jak miałem

O problemach tych rozmawiałem z kierownikiem Referatu Dzielnicowych KP MO, starszym sierżantem Witoldem Gorzędowskim i zastępcą komendanta, porucznikiem Antonim Jodłowskim. Nawiąsem mówiąc, nawiąska te wymieniali pracownicy szkolnictwa. St. sierż. Gorzędowski jest częstym gościem w szkołach, jego pogadanki na różne tematy zjednały mu sympatię; ten niemłody już człowiek budzi zaufanie i szacunek. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Młodszy od niego por. Jodłowski odznacza się bystrym umysłem, analitycznym spojrzeniem na sytuację w Tarnobrzegu.

Od nich slyszałem o 17-letniej dziewczynie uprawiającej prostytutkę, skierowanej na przymusowe leczenie choroby wenerycznej. Jej matka nie żyje, ojciec notoryczny złodziej, alkoholik i gruzlik — związał się z prostytutką. W tej atmosferze wychowywały się dzieci. Najstarsza uprawiała prostytutkę. Najmłodszym opiekują się obecnie 16-letnia siostra, uczennica szkoły zawodowej, bo ojciec w więzieniu, a starsza siostra w szpitalu. Rodzeństwo utrzymuje się z 800-złotowej renty ojca; chłopca zamierzano umieścić w domu dziecka, lecz siostra uprosiła pozostawienie jej opieki. Prośbę siostry chłopiec poparł płacem. Ale co będzie, gdy starsza wróci ze szpitala, a ojciec z więzienia?

A jaka przyszłość czeka troje dzieci z innej rodziny. Ojciec również alkoholik, przepijał nawet przynajmniej dzieciom zapomogi przez Wydział Oświaty i Komitet Przeciwalkoholowy. Obecnie siedzi w więzieniu. Matka alkoholizka i też lekkich obyczajów. Zamierzano skierować ją na przymusowe leczenie przeciwalkoholowe, lecz nie miał kto zaopiekować się dziećmi; w domu dziecka brakuje miejsc!

Nie będę snuł rozważań na temat: prostytutka, sutenerstwo, alkoholizm a wychowanie młodzieży, przy czym chodziłoby w tym wypadku nie tylko o dzieci z tego środowiska, lecz konsekwencje dla zdrowia moralnego szerszych kręgów, które wiedzą, że takie zjawiska występują. Prostytycja w Tarnobrzegu jest zjawiskiem nowym, podobnie zresztą jak nagły wzrost zachorowań na choroby weneryczne.

Konsekwencje prostytucji? Z usług cór Koryntu korzystają nie tylko samotni mężczyźni, lecz także głowy rodzin, o czym niekiedy dowiadują się żony. Awantury odbywają się na oczach dzieci. Tego rodzaju skandale są ulubionym tematem plotek towarzyskich. Bo jakże nie pamiętać się z faceta, któremu dziewczka ukradła złoty zegarek? Złoty melunek milicji, prosił o dyskrekcję, gdyż wysoko cenit sobie spokój i szczęście rodzinne. Milicja zegarek odzyskała. Zawładnienie o zgłoszeniu się w komendzie przejeżdżała żona i chociaż milicjanci zachowali dyskrekcję, to jednak zdolała ustalić stan faktyczny...

Skoro już rozpisalem się o prostytucji, to wspomnę jeszcze o nieudanych raczej próbach redukcji. Przede wszystkim — mówi por. Jodłowski — staramy się o pracę dla nich, ale wiele z nich, chociaż nie wszystkie, to kobiety bez wykształcenia. Pracy fizycznej, do tego mało płatnej, nie chcą podjąć, reflektują na posadę sekretarki... Jednej oferowaliśmy lekką pracę, nie wyraziła zgody. Inna chciała zostać kierowcą, zdobyła ten zawód, lecz „fach” uprawiała nadal z przykrymi dla klientów konsekwencjami — była zarażona...

Poruszone zagadnienie ma, tak przynajmniej sądzę, szerszy aspekt, a mianowicie: w jakim momencie daleko posunęła swoboda seksualna przetradała się w prostytucję. — Najpierw bywa — odpowiada mi st. sierż. Gorzędowski — szwendanie się po knajpach, później umacnia się chęć lekkiego życia bez pracy. Bywają jednak przypadki o wiele bardziej skomplikowane, nie mieszczące się w tym stereotypie, bo niektóre z tych pań posiadają wykształcenie i zawód. Wspomniana, że prostytucja w Tarnobrzegu jest zjawiskiem nowym. I chyba sezonowym także; pełna stabilizacja położy kres temu zjawisku, a przynajmniej nie będzie ono tak drastyczne.

I jeszcze jedna sprawa. Swoboda seksualna przybiera postać niepokojącą; dla wyjaśnienia tego zjawiska, sporo do powiedzenia ma medycyna i psychologia. Fizycznie młodzież dojrzewa obecnie znacznie wcześniej ze wszystkimi konsekwencjami. Wcześniej m. in. rozbudza się zainteresowanie życiem seksualnym. Zagadnienie uświadomienia seksualnego to temat oddzielny, wspomnę jedynie, że zdaniem badaczy system wychowania w rodzinie i szkole spycha ten problem w sferę podświadomości, pozostawiając zdobywanie wiedzy w tym zakresie kręgom koleżeńskim i praktyce, która — zwłaszcza u dziewcząt — powoduje niekiedy katastrofalne skutki psychiczne.

Te złożone problemy traktuje się albo z pozycji Armii Zbawienia, albo w sposób wulgarnie uproszczony. Dla uniknięcia nieporozumień: nie wypowiadam się co do rozmiarów zasygnalizowanych zjawisk, lecz, że są one problemem, niech świadczą przykłady z Tarnobrzezkiego. Tu zdarzyły się przecież zdaje się jedyne w Rzeszowskiem, gwałty zbiorowe.

Snracami jednego było trzech zdegenerowanych młodych mężczyzn. Drugie przestępstwo, dokonane na wsi również przez młodych ludzi, jest w swej wymowie szczególnie odrażające, zwłaszcza niepokój budzi postawa części mieszkańców wsi, którzy zamiast potępienia gwałcieli, namiewiali się z ofiary gwałtu. Gdy byłem ostatnio w Tarnobrzegu, prokurator miał już sześciu uczestników gwałtu pod kluczem. Obciążają ich liczne okoliczności; wspomnę tylko, że na miejscu przestępstwa pozostawiono nieprzypadną kobietę. Podobno był jeszcze jeden wypadek gwałtu zbiorowego, lecz sprawa nie stała na wokandy sądowej, bo podczas wstępnego dochodzenia 17-letnie dziewczę z rozbrajającą szczerością oświadczyło, że właściwie to nie wie czy ją gwałcono. — Byłam, proszę pana, bardzo pijana...

Jakie nasuwają się konkluzje? Zrezygnuj z wniosków ogólnych, lecz nieodparcie nasuwa się twierdzenie, że aczkolwiek niektóre ze wspomnianych zjawisk zachodzą na marginesie społecznym, to jednak wieloma niemi powiązane są z szerszymi kręgami; swoim występowaniem stwarzają zagrożenie...

ZDZISŁAW KOZIOŁ PROBLEMY NA MARGINESIE

reagować — mówi mjr Lechowicz — gdy idąc parkiem, słyszę jak młodzi chłopcy „wyrażają się”; jeden z nich uspokaja kolegów: — „Cicho, bo „głina” idzie”. Nie zareagować, to powiedzą: — „Widzisz, jaki kozak, boi się”. Zareagować, usłyszysz: — „Panie władzo, to już o gitnie nie można rozmawiać!”.

Ta właśnie grupa młodzieży, w zasadzie nie przestępcza jeszcze, następcza sporo kłopotów, na nią szczególnie skarżyli się nauczyciele. Skoro już wspominał o nauczycielach, to kilka słów o wspomnianym już punkcie widzenia szkoły. W Tarnobrzegu spotykałem nauczycieli o szerokiach horyzontach, dużych aspiracjach, entuzjastów. Ci kłopoty wychowawcze przyjmują jako rzecz naturalną; w obronie młodzieży gotowi są kruszyć kopie, przytaczają wiele przykładów ukazujących współzależność między postawą społeczeństwa a zachowaniem młodzieży. Szczególnie kradzieże dokonywane przez młodzież porównują z przestępczością gospodarczą.

Przedstawiciele szkolnictwa na plan pierwszy wysuwają jednak trudności, w jakich tarnobrzezkie szkoły pracują. Przede wszystkim niesamowite przepięnienie. Nauka na dwie — trzy zmiany wyklucza możliwość organizowania zajęć pozalekcyjnych; kto więc ma zająć się np. dziećmi rodziców pracujących? Lokalne potrzeby szkolnictwa tarnobrzezkiego są rzeczywiście duże, wspomnę tylko, że Technikum Mechaniczne mieści się w szkole podstawowej, a po sponięciu budynku Zasadniczej Szkoły Zawodowej młodzież uczy się w świetlicach zakładowych, Liceum Ogólnokształcące zaś ma przeszło 2-krotnie mniej pomieszczeń niż potrzebuje. A miasto rozrasta się, przybywa także uczniów. Na porządku dnia stoi więc sprawa w a r u n k ó w, w których szkoły i placówki wychowania pozaszkolnego będą mogły udzielać rodzinie skutecznej pomocy wychowawczej; jakże często jest ona spóźniona...

Ten moment wysuwają nauczyciele na plan pierwszy; warunki pracy potęgają ich zmęczenie i chyba w niejednym wypadku zniechęcenie. Przepięnienie szkół, przepracowanie nauczycieli ogranicza możliwości indywidualizacji pracy wychowawczej z młodzieżą. Chodzi mi właśnie o przypadki szczególnie trudne. Zastępca inspektora Stanisław Nowakowski z niepokojem mówił o melinach, w których nieletni piją alkohol, o braku zainteresowania ze strony rodziców sposobem spędzania przez dzieci czasu poza domem itp. Nauczyciele tarnobrzezcy, gdy podjął z nimi rozmowę o młodzieży trudnej, mówią o współpracy z milicją. Powołano trójki kontrolujące zachowanie młodzieży na mieście, o wykroczeniach zaś powiadamiana jest szkoła i rodzina. Milicja i współdziałająca z nią aktywność szkoły sporo uwagi poświęca jednostkom szczególnie podatnym na destrukcyjne wpływy; nieradko są to właśnie dzieci rodziców pracujących. Czasami wystarczy, by taki uczeń miał kolegi do wspólnego odrabiania lekcji zanim rodzice wrócą do domu. W Tarnobrzegu zanika przestępczość nieletnich dokonywana w zorganizowanych grupach. Widoczny to rezultat penetracji zagrożonych środowisk oraz akcji profilaktycznej. Wielu spośród inteligencji próbuje te działania milicji, lecz nie każdy — mówi mjr Lechowicz — w sposób zorganizowany chce z nami współdziałać.

Franciszek Kotula

POKONGRESOWE REFLEKSJE

Na naszych oczach dokonuje się pocieszające zjawisko. „Prowincjonalny” Rzeszów, z którego ten i ów pokpiwał sobie, staje się atrakcyjniejszym miastem. Zrobiły to chociażby dwie wyższe uczelnie. Do Rzeszowa poczynają napływać ludzie z zewnątrz, mający chociaż do pewnego stopnia wypełnić lukę, zrobioną w czasie „wielkiej emigracji”. Czy już wypełnili? Wydaje się, że do tego jest jeszcze daleko. Istnieje obecnie tendencja, aby nie tworzyć nielicznych, gigantycznych metropolii, z różnych względów — nie tu miejsce na rozważanie tego problemu.

Jest faktem, że w Warszawie skoncentrowano aż 83 proc. instytutów naukowych. Słusznie; w stolicy powinno ich być dużo, ale... czy konieczne aż tyle? Czy na skutek tego pewne tereny nie stają się zaniedbane, pokrzywdzone?... mało atrakcyjne i dlatego omijane przez ludzi mających zdrowe ambicje badawcze i naukowe?

Wiadomo; instytuty skupiają naukowców wysoko kwalifikowanych i — mam tu na myśli niemal wyłącznie humanistykę — ich prace w znacznej mierze opierają się na materiałach archiwalnych, starszych i nowszych. Ale — „t a m c i” ludzie, którzy tworzyli archiwa, byli rozsiani po całym kraju stosunkowo równomiernie, dokumentowali na żywo to wszystko, co się wokół nich działo. A mam tu na myśli nie tylko archiwa „urzędowe”. Autentyczne archiwalia tworzą ludzie, stykający się z autentycznymi wydarzeniami.

Teraz problem, który już poruszyłem w artykule „Nie słowa Mazowsza” („Widnokrąg” nr 41/66). Czy skupione instytuty, inaczej scentralizowane, są w stanie żywo rejestrować to wszystko, co się dzieje, m. in. i mija?... Czy tedy nie lepiej, praktyczniej, skuteczniej byłoby funkcje zbierania dokumentów powierzyć „terenowi”, więc odpowiednim ośrodkom prowincjonalnym?...

Ten problem poruszany był na wielu komisjach kongresowych. Padły w tej materii liczne głosy, aby przeprowadzić decentralizację, przywrócić „prowincji” należną jej rangę. Tak postawiłem sprawę i wysunąłem odpowiedni wniosek na posiedzeniu komisji, która omawiała problemy zabytków, turystyki i wypoczynku oraz muzealne. O co konkretnie chodzi?

Instytuty naukowe podlegają, a ściślej są organami Polskiej Akademii Nauk. Pewne instytuty wysyłały w teren ludzi, indywidualnie czy też zespołowo, na przebadanie takich czy innych problemów, dla ich dokumentacji. Zebrane materiały z kolei są opracowywane i ogłaszane. Prowincja, jeśli jest ciekawa, może sobie takie opracowania kupić i przeczytać. Ale to jest tylko konsumpcja nie twórczość. W kulturze jest to również ważne, ale ważniejsza jest właśnie twórczość. W ilu ludziach obudziłaby się pasja badawcza, gdyby wiedzieli, że ich praca znajdzie wyraz w druku... Termin „prowincja” nie powinien być synonimem czegoś drugorzędnego, drugoklasowego.

Jeśli chodzi o humanistykę — nie biorę tu pod uwagę ludzi, którzy wprawdzie drukują w rzeszowskich wydawnictwach, chociażby na tematy rzeszowskie, ale stale mieszkają poza województwem — zawansowane są przede wszystkim dwa miasta: Przemyśl i Rzeszów. Przemyśl jest „leciwym” ośrodkiem badań historycznych, w Rzeszowie rozwijają się badania nad kulturą ludową. Przemyśl już posiada stację PAN, a działalnością obejmuje całe województwo. Dział Etnograficzny Muzeum w Rzeszowie w badaniach nad kulturą ludową ograniczył się do kilku, ale najważniejszych regionów etnograficznych i w tej dziedzinie posiada duże osiągnięcia. Działalność naukową Przemyśla skupia się w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, które ma określony i skrytalizowany charakter i jest subwencjonowane przez PAN oddział w Krakowie. Towarzystwo Przyjaciół Nauki w Rzeszowie jest również subwencjonowane przez PAN, trudno jednak byłoby mówić o jego skrytalizowaniu, zdecydowanym charakterze.

Na kongresie często i mocno podkreślano, że w ramach decentralizacji również i w dziedzinie naukowo-badawczej muszą nastąpić zmiany, ale rozsądne, aby nie wyrządziły szkód. Takie stanowisko jest bardzo słuszne. Ja też nie myślę o przeniesieniu do Przemyśla czy Rzeszowa takiego czy innego instytutu PAN, bo posiadają poczucie rzeczywistości. Może i to kiedyś nastąpi. Na razie... wedle stawu grobla. Myślę o placówkach naukowo-badawczych, jako funkcjach odpowiednich instytutów; historycznej w Przemyślu i badań nad ludową kulturą — pojętej kompleksowo — w Rzeszowie. Nie wyklucza to, aby inne placówki nie zostały zorganizowane w innych miastach naszego województwa. Byłyby to placówki mające w pierwszym rzędzie za zadanie dokumentację zjawisk i ogłaszanie ich drukiem; także dla celów praktycznych na miejscu, opracowanie tematów lokalnych, regionalnych, które też mają prawo do tego, aby się stać kamyczkami w wielkiej narodowej mozaice.

Chyba tak; jeśli się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć i „b”.

Mówiąc o placówkach naukowo-badawczych, czy chodzi tu o jakies rozbudowane lokalowo i etatowo instytucje? Wedle stawu grobla. Na razie — mam na myśli Rzeszów — jakies dwa pokoje i kilku ludzi, ale z pasją, ogniem, ambicją zdrową, twórczą.

Jeśli chodzi o Przemyśl, posiada bazę w całym tego słowa znaczeniu oraz wieloletnią tradycję. W Rzeszowie stworzenie bazy, w sensie materiałowej i personalnej, to kwestia decyzji ustanowienia placówki. Jeśli chodzi o dorobek naukowy w tej dziedzinie, starszy i nowszy, to jest on naprawdę pokazny. Tylko mrugnąć, a posypią się dalsze, jak się to mówi „z mety”. 15 obozów naukowo-badawczych zorganizowanych przez Dział Etnograficzny Muzeum w Rzeszowie dało w sumie góry materiału.

odwiedza klub. Powiadają, że kawa tutaj smakuje najlepiej. Chętnie przychodzą na ciekawe imprezy, odczyty lub programy telewizyjne. Nie wyobrażają sobie wsi bez klubu. A jeszcze kilka lat temu...
Wieczory wypełnia nuda. Młodych w Strażowie niestety mało, każdy chodzi własnymi ścieżkami. W tym okresie do szkoły przychodził nowy kierownik — Zbigniew Strażewski. Chociaż jako pedagog pracuje od 1936 r. i może pochwalić się znacznym doświadczeniem zawodowym, to jednak początki pracy w nieznanym środowisku nie należą do łatwych. Ale taka sytuacja nie trwa długo. Kierownik bowiem nie tylko pilnuje spraw szkolnych, lecz coraz żywiej interesuje się tym, co dzieje się we wsi. Przede wszystkim nawiązuje kon-

Felieton plastyczny

Przed paru dniami Pablo Picasso skończył osiemdziesiąt pięć lat. Z tego sześćdziesiąt pięć oddanych całkowicie i bez reszty sztuce. Picasso jest wielkim mitem i wielką prawdą naszego czasu. Jest osobowością tak potężną, że wszystko, co w sztuce się dzieje, musi doń jako do źródła powracać. Powracać doń jako do wielkiego inspiratora i do tego, który artystów współczesnych nauczył być odważnymi.

Picasso nie jest tepletykiem, ale jego dzieło staje się natychmiast pożywką i punktem wyjścia dla teoretyków, albowiem jest to materia wciąż niezwykle żywa i pełna zdumiewającej namietności, pasji, żywiołowości i zmysłowości. Ci, którzy nie wnikają w głębszy sens tego, co od tylu dziesiątków lat tworzy Picasso — powiadają, iż jest to kameleon w sztuce. W tak długim i tak intensywnym życiu pozostawanie takim samym artystą, niezmiennie się byłoby niczym innym aniżeli świadectwem zakrzepnięcia, zakademizowania się, stania bez ruchu w jednym miejscu. A jednak przy tych zmianach, przy tym najróżnorodniejszym atakowaniu problemów malarskich, przy tych wszystkich przenikających się z sobą, oddzielających się od siebie epokach swej twórczości — Picasso zawsze jest artystą tym samym.

Znaczy to po prostu, że zawsze w jego dziele odkrywamy człowieka bardzo określonego, indywidualność dominującą nad wszystkim i ze wszystkiego emanującą.

Obserwować możemy to od pierwszych jego obrazów i rysunków jeszcze w manierze na wpół akademickiej, lecz powstałych w charakterze hiszpańskiej tradycji, później w owych, nieco pod wpływem Toulouse Lautreca, obrazach niebieskiego i różowego okresu. Jeszcze później w brutalnych, objawiających nowe prawdy „Pannach z Awignon”, które stały się kamieniem węgielnym kubizmu. A wiemy, czym był w ogóle kubizm dla kultury i cywilizacji dwudziestowiecznej.

Nie ma przerw w jego życiu, są zmiany i niezmiennosc gruntu, z jakiego one wyrastają. Siła Picassa tkwi również i w tym, że w sposób tak odważny umie płynąć przeciw prądowi, czyniąc to w sposób zwycięski. Jego walka jako artysty jest imponująca. Być może niezrozumiały właściwie, porwa on i zachwyca, i to jest jedną z miar jego geniuszu. Jest również człowiekiem, artystą o sumieniu, które byśmy mogli nazwać — społecznym. Obo za parę miesięcy minie trzydzieści lat od chwili, kiedy świat ujrzało jego przerażające dzieło, którego tematem była wojna, faszyzm, bombardowania lotnicze,

PICASSO

przecucie nadciągającej katastrofy. To słynna „Guernica”. „Guernica” — również zwiastun bohaterstwa i odwagi.

O Picassie napisano setki książek, tysiące artykułów, dlatego chociażby, że jest on dla każdego z piszą-



cych universum prawdziwie niezwykłym i tematem niewyczerpanym. Picasso bowiem działa na wyobraźnię. Działa całą swą twórczością; obrazami, rzeźbami, grafiką, ceramiką. Działa też fascynującą historią swojego życia, tym bardziej fascynującą, bo prawdę mówiąc, pozbawioną cienia tego, co w potocznym

sensie nazywane jest przygodą. Picasso nie podróżuje, nie poluje, zmienia żony, ale nie miewa oszalałymi romansów. Picasso kocha swe dzieci i swoje kobiety w sposób bardzo prosty. A jednak fascynuje nas jako człowiek wielkiej, największej przygody. Z tym, że tą przygodą jest sztuka, tak podniecająca jak dalekie podróże, polowania na lwy w Afryce, bohaterstwa frontowe, samotny rejs przez Atlantyk. Jest to przygoda męska i męzna, i chociaż bywa tylko obrazami, kryje się w niej tętniący zawsze niepokój. Niepokój czego? Poszukiwania, dochodzenia prawd ukrytych. Nieskończonego i nieograniczonego.

Ten stary człowiek w luźnym swetrze i sandałach na boso nogi jest największym czarodziejem naszego czasu. I niezależnie od tego, że epoka czarodziejstwa uchodzi w przeszłość, urok jego niewątpliwie młodzieńczych czarów trwa niezmiennie.

IGNACY WITZ

Adam Potasz

NIE TYLKO SMAK CZARNEJ KAWY

Strażów. Szybko zapada jesienny wieczór. Zaraz przy drodze stoi oświetlony, długi dom. Pachnie świeży tynek i wapno — nieomylny znak, że niedawno ukończono remont budynku, w którym mieści się Klub Książki i Prasy „Ruch”. W dużej sali wszystkie stoliki są zajęte. Przy dwóch stali bywalcy grają w brydża. Inni przeglądają gazety, gawędzą przy pół-czarnej.

Obok starszych siedzą młodzi. Są tu gospodarze i pracownicy rzeszowskich fabryk, przedsiębiorstw oraz instytucji. Większość bowiem mieszkańców wioski dojeżdża codziennie do pracy, do wojewódzkiego miasta. I chociaż w Rzeszowie są kawiarnie, do których po robocie można wstąpić na dobre ciastko, to jednak miejscowa przychyla silniej. Większość z dojeżdżających wraca do domu i wieczorem

odwiedza klub. Powiadają, że kawa tutaj smakuje najlepiej. Chętnie przychodzą na ciekawe imprezy, odczyty lub programy telewizyjne. Nie wyobrażają sobie wsi bez klubu. A jeszcze kilka lat temu...

Wieczory wypełnia nuda. Młodych w Strażowie niestety mało, każdy chodzi własnymi ścieżkami. W tym okresie do szkoły przychodził nowy kierownik — Zbigniew Strażewski. Chociaż jako pedagog pracuje od 1936 r. i może pochwalić się znacznym doświadczeniem zawodowym, to jednak początki pracy w nieznanym środowisku nie należą do łatwych. Ale taka sytuacja nie trwa długo. Kierownik bowiem nie tylko pilnuje spraw szkolnych, lecz coraz żywiej interesuje się tym, co dzieje się we wsi. Przede wszystkim nawiązuje kon-



Kierownik szkoły Zbigniew Strażewski omawia z młodzieżą plan pracy zespołu pieśni i tańca.

takty z młodzieżą. Zakłada zespół teatralny. Reżyseruje „Karpackich góralki”, „Placówkę”, „Latarnika” i wiele innych sztuk. Zespół wraz z uznaniem zdobywa pierwsze i bardzo potrzebne fundusze. Wystarczają one na zakup sprzętu do nowej świetlicy, którą wieś buduje w czynie społecznym. Powodzenia zaczyna smakować. A wiadomo, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. Młodzi gospodarze świetlicy — członkowie koła ZMW pragną ulepszać i rozszerzać pracę kulturalno-oświatową. Idea zakładania klubów na wsi natrafiła więc w Strażowie na podatny grunt, zyskuje wielu zwolenników. Oficjalnie otwarcie nowej placówki następuje 1 lipca 1964 r. Uroczystość zbiega się z obchodami „Dni Strażowa”, zorganizowanymi wówczas po raz pierwszy. Zespół teatralny wystawia z tej okazji „Sobótki” i „Wierną rzekę”. Przedstawienia grane są kilkakrotnie tak dla mieszkańców Strażowa, jak i okolicznych wiosek.

Wokół klubu skupiają się ludzie, którzy pragną pracować w różnych zespołach. Najwięcej zgłasza się do grupy teatralnej. Wieczory wypełniają nauką trudnej sztuki scenicznej. Na próby przychodzi regularnie. Członek zespołu J. D. pracuje w WSK w Rzeszowie. Ma też gospodarstwo. Obowiązków dużo. Jego żona prosi więc Strażewskiego, żeby zrezygnował z uczestnictwa męża w zespole, bo przychodzi późno do domu, a rano musi jechać do pracy. Znowu mąż mówi — panie kierowniku proszę porozmawiać z moją żoną, żeby pozwoliła mi chodzić na próby, gdyż ja bez tej pracy nie mogę żyć. Szczere rozmowy pomogły. Rozmówiony w teatrze mieszkaniec Strażowa zostaje w zespole.

Takich jest więcej. Ob. W. L. zajmuje się gospodarstwem i wychowywaniem dzieci. Mąż pracuje na stacji kolejowej. Mimo licznych obowiązków kobieta znajduje czas na próby i systematycznie bierze w nich udział. Podobnych miłośni-

ków ma również zorganizowany chór. Po kilku jednak występach rodzi się myśl, żeby chór połączyć z grupą taneczną oraz kapelą i stworzyć zespół pieśni i tańca. Pomysł zostaje zrealizowany. 45-osobowy zespół szybko zdobywa rozgłos. Występuje nawet w telewizji, w programie młodzieżowym — „Po szóstej”.

Sukces cieszy wszystkich. W ten wieczór sala wypełnia się szczerze miłośnikami srebrnego ekranu. Każdy z zadowoleniem ogląda występ swoich artystów — amatorów, wypowiada uwagi. Wszyscy robią to ze swobodą, gdyż po poniedziałkowych spektaklach w telewizji zawsze omawiają prezentowane sztuki. Dyskusje prowadzi Franciszek Tama, przewodniczący miejscowego koła ZMW. Podobna wymiana zdań i opinii odbywa się po telewizyjnych programach z zakresu wiedzy rolniczej.

Klub wiele uwagi poświęca najmłodszym mieszkańcom wioski. Nawiązuje ścisłą współpracę ze szkołą. Zespoły dziecięce — chóralny, recytatorski i taneczny przejawiają niezwykle ożywioną działalność. Biorą udział w programach artystycznych zorganizowanych z okazji różnych świąt i uroczystości. Do nauki śpiewu są dwa adaptory, magnetofon oraz bogaty zestaw płyt i taśm. Z kolekcji zainteresowań najlepiej pracują historyczne i plastyczne. Szczególnie to ostatnie może pochwalić się dużymi osiągnięciami.

Dzieci na zajęciach wykonują plansze, gazetki ścienne i inne prace. Cenne są pomoce naukowe, a zwłaszcza do fizyki. Mali plastycy robią także bardzo efektowne naszyjniki z rogu. Uczą się pięknej sztuki rzeźbiarskiej. Rozwijają swoje zdolności, które ujawniają się zazwyczaj dopiero w klubowej pracowni. Z niej właśnie Zdzisław

Henryk Kawiorowski Miłość

Wyglądała spódnice i zwilżoną w ślinie dłonią zdjęta meszek, który przyczepił się do jej swetra. Zgarnęła do pudełka po ciastkach cały plik listów miłosnych, które czytała nie dla niego, tylko dla siebie, uśmiechając się do wspomnień. Schowała pudełko do szafy z książkami. Na krześle obok tapczanu została luzem rzucona gazeta. Krzysztof wziął ją i poszukiwał środkowej strony. Zosia przymknęła drzwi, by móc dostać się przed ukryte za nimi lustro. Poprawiała fryzurę. Ołówkiem zaczęła rysować rzęsy.

— Zostaw tę gazetę — powiedziała, patrząc narcystycznie na swoje odbicie i dotykając poduszkami palców skórę nad oczami. Czytałeś ją ze dwadzieścia razy. Wydaje mi się nawet, że nie istnieje dla ciebie, że jestem ci taka absolutnie obojętna, że światła nie widzisz poza swoimi głupimi wierszami.

— Miłość nie polega na mówieniu wielkich słów — odrzekł. Złożył gazetę i odsunął ją z powrotem na krzesło. Podniósł się. Spróbował ją objąć. Zosia uderzyła niecierpliwie jego dłoń. Odszedł i usiadł na tapczanie, zwrócony teraz twarzą w jej stronę. Znowu wziął gazetę. Teraz jednak nie czytał jej. Słuchał głosów dobiegających z kuchni.

— Pójdę się przywitać — rzekła Zosia. Zostawiła Krzysztofa samego, już w progu poruszając biodrami. Później usłyszał śmiech, prośbę matki i trzykrotnie powtórzone przez nią: „niech pan wejdzie, niech pan wejdzie”. Siedział w cieniu półprzymkniętych drzwi, trzymając zwiniętą gazetę. Przesunął się cicho bliżej światła, bijącego z drugiego pomieszczenia. Tamci w kuchni, Zosia, jej matka i mężczyzna opowiadali sobie dalej wesołą dykteryjkę i śmiali się głośno. Matka znowu powiedziała „niech pan wejdzie, niech się pan nie krepuje”. Krzysztof rozwinął skrzydła czasopisma i przybliżył je do oczu, gdyż miał nazbyt słaby wzrok. Literacki kącik przyniósł jeden nowy utwór radzieckiego poety. Pominał jednak tytuł wiersza, jego treść oraz nazwiska tłumacza i autora. Opuścił głowę. Nie wiedząc kiedy zwinął gazetę w rulonik, zmiął ją i odłożył na dawne miejsce.

— Zostanę tutaj, gdzie jestem. To nie ma sensu — rzekł.
— Żyjemy przecież ciągle i ciągle z ludźmi, nowoczesnie. Musisz to zrozumieć — powiedziała. Nie możemy zamknąć drzwi i okien, żeby odciąć się od kolegów i znajomych. Trzeba i porozmawiać, i odwiedzić się nawzajem. Myślisz, że nie wiem, co się z tobą dzieje? Zbliżyła się do niego. Krzysztof przygarbił plecy.

— Nie denerwuj mnie — dodała. Wszedł do niewielkiego pokoju. Zmrużył oczy, porażone nagłym wejściem z mroku w jaskrawą, nie osioniętą mlecznym kloszem żarówkę.

— Poznajcie się. Mój kolega, mój kolega — powiedziała Zosia.
— Krzysztof. Po prostu Krzysztof.

Mężczyzna wymówił niewyraźne nazwisko, kończące się na lekko sepleniące „icz”. Podał na przywitanie lewą rękę. W prawej trzymał stertę kolorowych widokówek, dostarczonych mu bardzo szybko przez Zosię.

— Uwielbiam Szwecję — powiedział, nie zwracając się właściwie do nikogo, i trochę miedząc słowa, które wydobywały się z jego ust zeszpeconych wadą w uzębieniu. Kocham obyczaje, ludzi i przyrodę tego kraju. Szwecja to moje naczelné hobby.

— Miałem kolegę Szweda. Przyjechał do Polski jako praktykant i znalazł się w naszej hucie — wtrącił Krzysztof. Nazywał się Grenlund. Był mały, szczupły i nosił rzadką brodę. Był po prostu bardzo śmieszny.

Mężczyzna odwrócił się bokiem do Krzysztofa. Wybrał cztery widokówki i oznajmił Zosi, że je zabiera na pamiątkę.

— Weź — powiedziała z radością.
— Nie będziesz się gniewała?
— No wiesz — rzekła miękko.

Krzysztof patrzył przez okulary na Zosię, a Zosia na mężczyznę — urzeczona jego kruczocharnymi włosami i śniadą cerą. Mężczyzna zaś patrzył na widokówki. Padały słowa i zdania, omijające uszy Krzysztofa. Spódnica ześliznęła się z kolan Zosi i podjechała do pół uda.

— Zosiu — odezwał się cicho. Spojrzała przelotnie. Jej zielone oczy stały się na chwilę matowe, takie bez wyrazu.

— Nie interesuje cię to, o czym rozmawiamy? — zapytała.

— Wprost przeciwnie. Szwedzi są twardym i uczciwym narodem. Wychowali się w górach i nad jeziorami,

mi, więc nic dziwnego, że są twardzi. W dawniejszych czasach na przykład bardzo dobrze radzili sobie ze złodziejstwem. Schwytawszy na gorącym uczynku odbierającego komuś pieniądze albo kradnącego zwykłą kurę, lub przecherę i okpigrosza, sądzili go, torturowali w kazamatach, w piwnicach, na osobności, publicznie zaś obcinali mu prawą rękę. I oto wyplenili złodziejstwo do tego stopnia, że pojęcie i znaczenie samego wyrazu „kradzież” jest mgliste, i jako takie zostało umieszczone w słowniku wyrazów dawnych.

Krzysztof urwał, gdyż dostrzegł ironiczny grymas Zosi.

— Tak — westchnął mężczyzna, przyglądając się znad widokówek jej półnagiej nodze.

— Zosiu — rzekł cicho Krzysztof. Słowo to nie wywołało wrażenia.

kraju są ponoć nadzwyczaj tanie, prócz tego nabyte doskonale żyletki, ze trzy aparaty fotograficzne i niemiecką maszynę do pisania. Te przedmioty przeszwaruje do ojczyzny i tu sprzeda na czarnym rynku, doliczając do rachunku kupującym okrągłą sumkę. Zosia westchnęła i obciągnęła spódnice. Ta jednak posiadała cudowną właściwość, a może odgađywała dyskretne życzenia właścicielki, bo wkrótce odsoniła dopiero co zakrytą, wewnętrzną stronę uda w sposób nader jednoznaczny.

Ten dzień różnił się kontrastowo od pewnego marcowego dnia, w którym Krzysztof pierwszy raz odwiedził dom Zosi. Wysiadł wtedy z autobusu w samym centrum wsi, w zabłocą po niedawnym deszczu szosę. Robotnik niosący skórzaną teczkę pokazał mu odległe zabudowania,

chwile wrócić” i założyła wełniane, czarne wdzianko, na którym tak świetnie leżały jej jasnobłond włosy.

— Pójdę z tobą, Krzysztof.
— Zosiu! Zatrzymał się na środku pokoju, z głową w świetle żarówki, z mokrym czołem, zwilgotniałym nagle od tych myśli, którym mimowolnie się poddał. Półprzymkniętymi od nadmiaru światła oczami spoglądał w tamten marcowy dzień, który tkwił w jego pamięci jak dokuczliwa drzazga w ciele. Miała wtedy na sobie jasną sukienkę i wychylała się ku niemu z krawężnika szosy, wołając go po imieniu zadyszczonym głosem, a on odwrócił się, poznawszy jej radosne wołanie i szedł ku niej z takim samym radosnym uśmiechem myśląc o tym, że jest zimno, mimo niedawnego deszczu i że Zosia może się przeziębici.

— Bo nie zdążymy — dotknęła jego rękaw.

— Wezmę tylko jedną rzecz. Wrócił do zaciemnionego pokoju, zabrał leżącą na krześle, porzuconą i zwiniętą w rulon gazetę. Schował ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Pożegnał matkę Zosi. Już pan ucieka? Już — odparł. Dzięki z całej duszy za miłą gościnę. Pocałował tę steraną kobietę w stwardniałą od pracy fizycznej dłoń. Ukłonił się mężczyźnie. Ten kiwnął głową znad widokówek i mrugnął niewyraźnie, niebadałe pożegnaniem.

— Co ty za sceny wyprawiasz — zapętała Zosia, gdy szli spiesznie w kierunku odległego przystanku.

— Byłoby to prawdziwe chamstwo, gdybym rzeczywiście wyprawiał jakieś sceny w obcym domu.

— Co ty mówisz, Krzysztof! Objął ją i przytulił do swego boku. Poprzez swój wełniany sweter i poprzez jej czarne wdzianko napłynęła od niego fala subtelnego ciepła. Tego ciepła, wiedział to z doświadczenia, którego potrafią używać tylko kochane i kochające dziewczyny.

— Czyżbym nie miał racji? — rzekł.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo uderzył ich w oczy błysk reflektorów samochodu, wyjeżdżającego zza zakrętu. Poczuli biec.

— Nie zdążyliśmy — wykrzyknęła.

— Nie mogą zostać na noc. To niemożliwe. Muszę iść na pierwszą zmianę do huty.

— Zatrzymać autobus?

— Tak!
Podniosła rękę, oddalając się na środek szosy. Autobus zwolnił i zatrzymał się obok nich. Powiedział Zosi dobranoc i uściśnął jej rękę. Kiedy spojrział za siebie z wewnątrz wozu odniósł nagłe wrażenie, zdawało mu się, że Zosia zaciśnięta piastki, położyła jej znany ruchem na piersiach i wychyliła się podana cała do przodu siedząc odjeżdżający autobus. Znikła wkrótce w ciemnościach. Nie widział już nawet jej jasnej czupryny, rozwianej podczas biegu. Usiadł na przednim fotelu i wydobyl gazetę. Rozpostarł obydwa skrzydła. Przybliżył ją na bardzo małą odległość do oczu i prawie wodząc nosem po papierze zaczął czytać ten wiersz radzieckiego poety — „Dziewczynę w automacie” Woznienskiego. Znał go dotychczas z oryginału. Język rosyjski lepiej oddawał miękkość zwyczajnej, ludzkiej tragedii owej dziewczyny z automatu. Dziewczyna z wiersza mówiła przez telefon. Jej słowa zamieniały się na mrozie w maleńkie soplek lodu i uderzały z brzękiem w tulejkę słuchawki. Jej ciepłe słowa przemieniały się w lód. Z przeciwnej bowiem strony kabła znajdował się mężczyzna, którego ta dziewczyna z publicznego automatu dawniej blikała mu i droga, stała się teraz zupełnie obca, omal wroga. Krzysztof złożył gazetę i oddał ją siedzącemu na sąsiednim fotelu robotnikowi.

— Bracie robotniku. Czytaj! — powiedział zdumionemu.

Kazał kierowcy zatrzymać wóz. Wyskoczył z samochodu, jak w tamten marcowy dzień. Biegł ciemną szosą utykającą na niewidocznych kamieniach. Wracił, bo wydawało mu się, że powinien dzisiaj wrócić, nie zważając na noc i konwenanse. Wciąż biegł wymachując płaszczem, którego fałdy wymknęły się na wiatr. Biegł pragnąc, by Zosia czekała w miejscu, w którym zatrzymał się na jej skinięcie autobusu, dowożący robotników do huty na nocną zmianę. Pragnął całym sercem, by czekała na niego, wychylona do przodu, jak w tamten marcowy dzień, z piastkami przyciśniętymi do piersi, z jasnymi włosami spadającymi na ramiona, w fartuchu i jasnej sukience, wołając na przywołanie zadyszczonym, radosnym głosem.



RYS. J. SIENKIEWICZ

Mężczyzna rzekł sepleniąc, że od wego przyjaciela z Goeteborgu otrzymał zaproszenie i dwieście potrzebnych koron, a konto przejazdu, wpiąconych na bank w Warszawie. Ze ów przyjaciel załatwił mu tymczasową pracę w restauracji na międzynarodowej zasadzie przyjmowania do pracy studentów, z pensją stu dolarów miesięcznie. I że on, jak tu siedzi, pojedzie do Szwecji i zbije niezłą fortunę. Zaplanował wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Kupi non-ironowe koszule, płaszcz z ortalionu, które w tym nadmorskim

tłumacząc przy tym długo i zawile Krzysztof nie zrozumiał dokładnie, tym bardziej że — jak się później okazało — prawdziwe wejście od podwórza zasłaniała furtka i podwójny płot. Minał nieświadomie właściciwy budynek i siedł naprzód, trzymając w kieszeniach zziębnięte ręce. Zosia dostrzegła go przez okno w pokoju, w którym stał tapczan i w którym czytała mu przed godziną miłosne listy licznych chłopców, studentów i „bradziaków” umawiających się, zaklinających na miłość i wiosnę, płaciliwych i honornych. Wybiegła wówczas i zatrzymała się na krawężniku szosy wychylona ciałem do przodu, jakby chciała rozpostrzeć skrzydła i lecieć do niego poprzez kałuże, z dionmi ściśniętymi w piastki, w fartuchu i jasnej sukience. Zdyszczonym i radosnym głosem wykrzyknęła jego imię. To był najpiękniejszy dzień w ich rocznej znajomości.

— Krzys! Podniósł głowę. Zosia uśmiechała się z lekką kpina.

— Nie myśl tak intensywnie. Głowa cię rozboli. Wróc z obłoków na ziemię.

Mężczyzna przerzucał widokówki poplując na koniuszki palców niczym wytrawny licykrypa. Bawił się tymi pocztówkami, miętoszył je i tasował jak karty do gry w bridża.

— Przepraszam — powiedział głucho Krzysztof. Człowiek przypomina sobie niekiedy coś, co utkwilo mu w pamięci i co będzie w niej tkwiło do końca życia, jak operowanemu na wyrostek robaczkowy bliźna na brzuchu, z czym nie rozstanie się w żadnym miejscu na świecie, czego jednak wolałby czasem nie pamiętać, po to choćby, by uspokoić sumienie, dręczące się ciągłym: kto z nas zawinił, czy mogło być inaczej, a skoro już inaczej, to w konsekwencji dobrze czy źle.

Zosia obciągnęła spódnice. Kolana znikły pod fałdami sukienki. Mężczyzna odwrócił oczy.

— Zosiu!
— Słucham cię.
— Muszę iść. Spóźnię się na autobus. Jest dwadzieścia po dziewiątej.

Było mu u ciebie naprawdę doskonale. Muszę się solidnie spieszyć, jeśli chcę zdążyć do autobusu. Nałożył sweter, obmacał kieszeń, w której nosił zwykle przepustkę pracowniczą, wystawioną przez hutę, zabrał płaszcz. Mężczyzna odłożył widokówki i podparł brodę. Zosia powiedziała mu „przepraszam, za

Jeszcze nadtytuł: Jak stworzyć gang, czyli precz z nudą na wakacjach. Warta akcja tej powieści nie ma jednak nic wspólnego z morderstwami, ale w sposób ciekawy pokazuje i zwalca przywary Polaków, kanciarzy i oszustów. Czyta się, i to szybko.

Janusz Rolicki: **BRALEM LAPÓWKI.** Wwa 1966, Iskry, s. 253, cena 12 zł.

Autor, znany na pewno czytelnikom „Polityki”, wydał, przypadkowo jak twierdzi, tom swoich reportaży. Mówią one o polskiej współczesności, i jak zwykle u tego autora, chłoczszą wady naszych rodaków. Akcja jednego z nich („Chleb komiwojżerski”) rozgrywa się na terenie naszego województwa.

A. Grodzicki, J. A. Szczepański: **PRZEZ KRAJ BOGÓW SŁONCA I OLIVEK.** Wwa 1966, Iskry, s. 275, cena 20 zł.

Redaktorzy „Życia Warszawy” (A. G.) oraz „Trybuny Ludu” (J. A. Sz.) składają relację o Grecji dawnej i dzisiejszej, operując się w zasadzie na materiałach zdobytych w czasie podróży samochodowej odbytej w 1964 r. Publikacja ilustrowana ciekawymi zdjęciami.

Alojzy Sroga: **STUDENCKIE LATA.** Lublin 1966, Wyd. Lubelskie, s. 250, cena 18 zł.

I znowu pozycja, której autorem jest dziennikarz. Tym razem nie są to reportaże, ale powieść mająca wagę dokumentu, gdyż jej tematem jest okres kształtowania się pierwszej po wojnie wyższej uczelni Polski Ludowej UMCS w Lublinie, gdzie autor ukończył studia chemiczne.

ALMANACH POETYCKI Lublin 1966, Wyd. Lubelskie, s. 168, cena 12 zł.

Almanach zawiera wiersze dwudziestu poetów, członków Lubelskiego Klubu Literackiego. Ich różnorodna tematyka i forma ma pokazać upodobania i kierunki poszukiwań członków Klubu.

Wsiwółod Wojewodin: **ROGATA DUSZA.** Przel. Zofia Korczak-Zawadzka. Wwa 1966, PIW, s. 356, cena 20 zł.

Autor-powieściopisarz, reporter i dziennikarz radziecki starszego pokolenia. Tematem „Rogatej duszy” są pełne konfliktów przeżycia głównego bohatera-marynarza. Akcja powieści toczy się w latach trzydziestych, ale przedstawione w niej problemy etyczne uderzają aktualnością czasów dzisiejszych.

Elżbieta Grabska: **APOLLINAIRE I TEORETYCY KUBIZMU W LATACH 1906-1915.** Wwa 1966, PIW, s. 295, cena 35 zł.

Autorka zajmuje się tu kubizmem jako zjawiskiem w sztukach plastycznych, które zadecydowało o losach sztuki dzisiejszej. Ukazuje rolę Apollinaire'a jako teoretyka kubizmu. Liczne ilustracje.

Jerzy Kuberski, Jerzy Wolczyk: **SZKOŁA ZAWODOWA W WIELKIM MIĘCIE.** Wwa 1966, KIW, s. 151, cena 8 zł.

Tomik z serii „Problemy, polemiki, dyskusje”. Praca przeznaczona przede wszystkim dla praktyków szkolnictwa zawodowego, ukazuje czynniki wpływające na rozwój szkolnictwa zawodowego, jego pedagogikę i planowanie oraz sposoby zarządzania nim w wielkim mieście.

Sławomir Sierecki: **OGNIE NAD ŚWIĘTYM MORZEM.** Gdynia 1966, Wyd. Morskie, s. 128, cena 12 zł.

Książka składa się z dwóch esejów: tytułowego i „Bulwaru nad Kanałem Katarzyn”. Opowiada o ludziach walczących z carskim despotyzmem zarówno Rosjan, jak i Polaków, zsyłanych na zesłanie na Syberię. Ciekawe charakterystyki faktów, przeprowadzone w oparciu o dokumenty i ich konfrontację z terenem, na którym opisywane wypadki się rozgrywały.

W poprzednim numerze „Widnokręgu” (nr 34) przy artykule „Spoleczna kontrola czy integracja” pominięto nazwisko autora Piotra Zbiłkowskiego. Przepraszamy za to niedopatrzenie zarówno autora, jak i Czytelników.



E. Jeleński, M. Kosieradzki, Wł. Swińdowski: **ORGANIZACJA WSI I GOSPODARSTW ROLNICZYCH.** Cz. I-III Wwa 1966, PWRiL, s. 324, cena 15 zł.

Wznowienie podręcznika dla szkół przysposobienia rolniczego. Zawiera on rys historyczny rozwoju rolnictwa polskiego, z akcentem na socjalistyczne przeobrażenia wsi w PRL oraz opis organizacji i prowadzenia gospodarstwa rolnych. W części końcowej — wybrane zagadnienia ustawodawstwa rolniczego.

Klara Jarunkowa: **JEDYNACZKA.** Przel. ze słowackiego Cecylia Dmochowska. Wwa 1966, Iskry, s. 292, cena 11 zł.

Bohaterką powieści jest współczesna 15-letnia dziewczyna. Książka przełożona na cztery języki zdobyła sobie dużą popularność wśród młodzieży.

Lech Bądkowski: **BITWA TRWA.** Gdynia 1966, Wyd. Morskie, s. 218, cena 18 zł.

Jest to trzecie wydanie zbioru opowiadań znanego gdańskiego pisarza. Akcja tych w dużej części autobiograficznych utworów rozgrywa się na wsiu frontach II wojny światowej, począwszy od września 1939 roku. Ciekawa lektura.

Jerzy Jurandot: **MOJA „TFURCZOŚĆ”.** Wwa 1966, Iskry, Biblioteka Stańczyka, s. 281, cena 35 zł.

Śnakomity satyryk publikuje satyryczne utwory pochodzące z różnych okresów twórczości. I dla poczytania, i dla zespołów estradowych do wykorzystania.

Instalja Rolleczek-Korombel: **GANG PANNY TEODORY.** Wwa 1966, Iskry, s. 63, cena 8 zł. Wyd. II.

Na stronie tytułowej można przeczytać

Dni Filmu Radzieckiego

W pierwszej połowie listopada trwać będą tradycyjne Dni Filmu Radzieckiego.

W tym roku program imprezy przewiduje premiery 10 filmów pełnometrażowych oraz wznowienia wielu cennych pozycji, które weszły na ekrany kin w latach ubiegłych. „Dni” zainauguruje film „Nikt nie chciał umierać”. Na uroczystej premierze w kinie „Moskwa” obecna będzie delegacja kinematografii radzieckiej. Zapowiedzieli przyjazd reż. Piotr Todorowski, twórca prezentowanego podczas „Dni” filmu „Wierność”, reż. Larisa Szepitko („Samotna”), a także aktorzy Ella Leźdej, Inna Makarowa i Bruno Oja. Akcja filmu „Nikt nie chciał umierać” reż. Vitautasa Žalakevičusa toczy się w pierwszych latach powojennych na radzieckiej Litwie. Na wszechzwiązkowym festiwalu filmowym w Kijowie film ten — dramat psychologiczny z elementami sensacyjnymi — zdobył pierwszą nagrodę w kategorii utworów o tematyce współczesnej, a odtwórca jednej z ról Donatas Banionis — nagrodę za najlepszą kreację w Karłowich Varach.

Film „Wierność” reż. Piotra Todorowskiego — to poetycka opowieść o osiemnastolatkach i uczu-

ciu rodzącym się w cieniu wojny. Scenariusz opracował wraz z reżyserem, znany poeta Buiat Okudźawa; główną rolę gra młoda aktorka Halina Polskich, występują także W. Czetwierikow i A. Potapow. Na zeszłorocznym festiwalu w Wenecji film otrzymał nagrodę „Opera Prima”.

„Pierwsza bastylia” reż. Michaiła Jerszowa opowiada o młodzieńczych latach Lenina, jego pierwszych kontaktach z ruchem robotniczym i rewolucyjnej działalności na Uniwersytecie w Kazaniu. Rolę 17-letniego Włodzimierza Ulianowa odtwarza W. Gołowienkow.

Film „Kobiety” — reż. Pawła Lubimowa przedstawia losy trzech kobiet, przybyłych ze wsi do pracy w mieście. Bohaterką filmu „Samotna” reż. Larisy Szepitko jest była lotniczka, bohaterka w latach wojny. Film „Wczesnym rankiem” reż. Tairana Loznowej — to współczesny dramat psychologiczno-obyczajowy, oparty na scenariuszu znanej pisarki Wiery Panowej. Kolorowy film „Cienie zapomnianych przodków” reż. Siergieja Paradżanowa stanowi adaptację opowiadania klasyka literatury ukraińskiej Michaiła Kociubinskiego; jest to motyw Romea i Julii, ukazany na tle malowniczego folkloru huculskiego.

Amatorzy filmów sportowych będą mogli obejrzeć „Hokeistów” (reż. Rafał Goldin). Utwór ukazuje konflikt między życiem osobistym a wymogami, jakie stawiają przed zawodnikami metody współczesnego treningu. Najmłodszy widzowie otrzymają ekranizację ludowej opowieści pt. „Bajka o Mrozie czarodzieju” reż. Aleksandra Rou, nagrodzoną „Złotym Lwem” na zeszłorocznym festiwalu filmów dziecięcych i młodzieżowych w Wenecji.

W okresie „Dni” wejdzie również na ekrany głośny pełnometrażowy film dokumentalny reż. Michaiła Romma „Zwykły faszyzm”. Nie jest to historyczna kronika nazizmu — mówi twórca filmu — ani jego historia polityczna. Chcieliśmy przede wszystkim zgłębić faszyzm jako zjawisko epoki, pokazać głębię, z której wyrósł, zajrzeć w duszę szeregowego Niemca, wyjaśnić, dlaczego poszedł za Hitlerem.



JOZEF RUBACHA — dyrygent Kapeli Ludowej w Brzostku.
RYS. J. SIENKIEWICZ

Opowiadanie folklorystyczne

SPOSÓB NA SPOSÓB

Nie chciało się Cyganowi pracować. Nie zarobił, nie było co na ząb włożyć. Poszedł po rozum do głowy i wymyślił. A szedł drogą. Drogi wtedy były kiepskie, pełne kałaupek, wyboiste, z pieca na łeb z wydmuchów do wozów. Kiedy Cygan znalazł się, po takiej drodze idący, między dwoma urwistymi wałami, właśnie tam wpadł na sposób zaradzenia sobie w potrzebie.

— Jeżdżę za wozami wozy. Niechże mnie który potrąci, właściciel stono zapłaci. Będzie za co liźać małe skałeczki i kieszki nie będą w brzuchu marsza grać.

Namyślił się. A nie mógł się już rozmyślić, bo kiedy na terkot kół się odwrócił, zaświeciły mu kuszące końskie łby, hamujące rozpęd wozu u dyszla i spodobał się chłop rozkraczony na literkach z kacaliną. Cygan wsadził krzyż do kałauki z ciepłym błotem, żeby nie dostać zbyt mocno w jakiś gnat, ale kmiotek zauważył go na drodze.

— Hop, hop, hop! Ruszaj z drogi, bo konie mam rozpędzone! Coś utulił ząb w koleinę jak ten wór?!

Cygan z miejsca się nie ruszył. Chłop nie zdołał na bok oddać, bo ciasno w wądole było, to koła wozu Cygana zawadziły. Zaskarżył chłopca do sądu.

— Będzie za obzunięcie siedzenia i za ból należyne odszkodowanie!

Ściągnęli obu w terminie na rozprawę. Chłop na uszytko zapytania wysokiego sądu: ani me, ani be. No to sędzia po daremnych kilku próbach, by chłopu trafić do słuchu, zdecydował:

— Głuchy, niemy. Uniewinnić pozwanego! — To Cygan widząc zły obrót swojej sprawy, protestuje:

— Jaki tam z psiej pary niema! Daj się wtedy, że echo się rozlegało: „Hop, hop, hop!” Nawet naubił mi od wóru! — Sędzia na to:

— Gdy się daj: „Hop, hop, hop!” — to dlaczegoż z kałauzy się nie ruszył? Miałeś czas, kiedy od wóru wymyślał, na wał uciec!

Nie było odszkodowania. Cyganowi całą sprawę umorzono. Więc Cygan znów wpadł na sposób, lecz tym razem skuteczniejszy: poszedł, by zarobić, do roboty.

Kawał ludowy od Franciszka Gawła z Rzeszowskiego —

Opracował
WŁADYSŁAW DŁUGOSZ

Zdarzenia tygodnia

26 października odbyło się w Jasle wyjazdowe posiedzenie Zespołu do spraw Klubów przy Wydziale Propagandy KW PZPR w Rzeszowie z udziałem członków zespołów w Jasle, Krosnie, Sanoku i Strzyżowie, poświęcone omówieniu rozwoju sieci klubów i szkolenia aktywu kulturalno-oświatowego tych placówek. Podstawę dyskusji stanowiły informacje przedstawiciele zespołów z Jasła i Krosna o pracy zespołów w tych powiatach i sytuacji w klubach.

Z okazji przeglądu amatorskich teatrów poezji, zorganizowanego w ramach Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych w ZDK „Tapima” w Tarnobrzegu odbyło się kolejne spotkanie członków Wojewódzkiego Klubu Reżysera Amatora.

Uczestnicy sesji wysłuchali wykładów aktora Teatru Starego w Krakowie, Tadeusza Malaka, na temat inscenizacji oraz Jerzego Pleśniarowicza, kierownika Literackiego Teatru im. W. Siemaszki w Rzeszowie, który mówił o doborze repertuaru dla teatrów poezji.

27 ubm. w Wydziale Kultury Prez. WRN odbyło się spotkanie przedstawicieli WKZZ, WDK, „Ruchu”, ZW ZMW i Zw. Zaw. Prac. Rolnych, na którym przedyskutowano sprawy koordynacji planów dokształcania kadry etatowej placówek kulturalno-oświatowych oraz działaczy amatorskiego ruchu artystycznego.

W ub. sobotę, tj. 29 października, w Klubie Związków Twórczych w Domu Sztuki w Rzeszowie odbyło się spotkanie, zorganizowane przez WIMBP oraz BWA, z warszawskim krytykiem i eseistą Piotrem Kuncewiczem, który mówił o problemach współczesnej literatury.

W dniach 29 i 30 ubm. w Jarosławskim PDK odbyło się seminarium metodyczne dla wiejskich instruktorów teatralnych z powiatów Jarosław, Lubaczów, Przemyski i Przeworsk, poświęcone małym formom teatralnym oraz organizacjom wycieczek poetyckich, literackich i muzycznych.

„Żywot Józefa” w CSRS

W miejskim teatrze im. Tyla w Pilźnie odbyła się premiera sztuki Mikołaja Reja „Żywot Józefa”. Szczelnie wypełniająca teatr publiczność przyjęła sztukę wręcz entuzjastycznie. Po zakończeniu spektaklu kurtyna szła 43 razy w górę.

Jest to już drugie wystawienie tej sztuki w CSRS; pierwsze odbyło się niedawno w praskim teatrze S. K. Neumanna w reżyserii Kazimierza Dejmka. Wkrótce odbędą się premiery „Żywota Józefa” w innych teatrach Czechosłowacji.

Autorem świetnego przekładu sztuki Reja na język czeski jest Jarosław Simonides.

Wystawa tolstojowska w Japonii

W Tokio otwarto wystawę poświęconą klasykowi literatury rosyjskiej — Lwu Tolstojowi.

Na wystawie złożono się ponad 800 eksponatów i książek z Muzeum Tolstoja w Jasnej Polanie, Muzeum Rosyjskiego w Leningradzie oraz z wielu innych zbiorów na terenie ZSRR. Wśród rzeczy osobistych pisarza znajdują się m. in. pióro, ołówek, portfel, lampa, samowar, naczynia, części ubioru, a nawet kosa, z którą wychodził na pole.

Główną część ekspozycji stanowią dzieła Tolstoja oraz prace poświęcone jego życiu i twórczości. Zwiędzający zobaczają więc rękopisy wielkiego pisarza, dzieła wydane jeszcze za jego życia, jak również utwory klasyka rosyjskiego wydane we wszystkich językach narodów ZSRR i w innych językach świata.

W Japonii istniało zawsze duże zainteresowanie twórczością Tolstoja. Jeszcze za życia pisarza prawie wszystkie jego dzieła ukazały się w przekładzie na język japoński. Wielu intelektualistów japońskich korespondowało z Tolstojem, a także odwiedzało go w Jasnej Polanie.

Na wystawie znalazły się również eksponaty zebrane przez japońskich organizatorów — wydania dzieł Tolstoja w Japonii, szkice i makietki jego utworów dramatycznych granych na scenach tego kraju.

Wystawa czynna będzie trzy miesiące. Zobaczą ją mieszkańcy Tokio i Osaki.

Koncert życzeń

Za niecałą stówę można wywołać wilka z lasu. Ciepły głos spikera serwuje: — Drogimemu Cesiowi wszelkiej pożyteczności, spełnienia marzeń itd. Ciesio zaklepuje Szezepek „komorami”. Słowa te wypowiedziane na imieninach nie zobowiązują. Ale przez radość to co innego. Instytucja to poważna — kierownictwo, ludzie zasłużeni, księgowość, prawo deputatu węglowego itd. Tacy słów na wiatr nie rzucają, zwłaszcza że w grę wchodzi pieniądź społeczne.

I kiedy Ciesio wypełnił kupon totka, od razu szóstka. Do drzwi zapukał listonosz — spadek dewizowy po dalekiej ciocie z Australii. W chlebnie znalazł kupon i główna wygrana Zarządu Piekarni Mechanicznych, w autobusie wziął główną nagrodę na numer biletu.

Zawszad się Cesiowi spało, co krok to dobra doczesne pchały się drzwiami i oknami, nie był w stanie nawet połowy stracić. Przygotowania w tej branży żadnego nie miał. Pod dachem Cesiowego domu zamajaczyło ponure widmo dobrobytu. Przeszła już marzyć, od tygodnia był wdowcem. Życie stało się koszmarem. Tak dalek być nie mogło. Wieczorem ledwie przywiał powrót do suchego komara... a tu podchodzi niezajomy brunet — bardzo pana przepraszam, jak pana odetną — powróz mój, oto sto patyków. Ciesio desperackim susem odbił się od stołka — trach, z dziupli strumieniem posypały się srebrne talary z czasów Henryka Brodatego.

Pozostał jedyny ratunek, wysokogatunkowe alkohole w restauracjach kategorii „S”. Stoczonego 5-gwiazdkowym Martelem odwieziono do izby wytrzeźwień. Reszka świadomości pomyślał — nareszcie wydatek. W progu „izby”

zgrupowało się parę osób, lekarz i kilkoro personel pomocniczy oraz działacze. Wrecono mu transzyster „koliber”, który miał mu pomóc zapomnieć o pokusach.

Rano, posiał drzącą ręką chwycił za pióro, posłał telegram do radia. — Ja nie mogę — stop — na litość boską — stop — odwołajcie mi te życzenia — stop — Ciesio.

Po tygodniu przyszła komisja. Przewodniczący zapytał: — Ob. Ciesio? — Tak, to ja. — Obywatel pisal do nas? — Tak. — Dobrze sprawdzimy. Wyciągnęli kwestionariusze. — Samochód ob. ma? — Tak, dwie sztuki. — Dobrze, zapłacisz kolego — poleciał przewodniczący pracownikowi. — A telewizor? — Tak, trzy sztuki. — Dobrze. I tak pogyła po pozycji, po stronie „ma” piętrzyły się nadwyżki.

Przewodniczący był człowiekiem skrupulatnym. — A robota 4-czynnościowego ob. ma? — Indagowała komisja. Ciesio wyjął — Nie. — Co? Robota ob. nie posiada, a nam tu oczy mydli jakimś dobrobytem? Inni czekają, przyjdziecie w przyszłym miesiącu — częst! Ciesio ze łzami w oczach zasiał komisji wyście. — Panowie — wyjął — ja naprawdę, — tu izy, jak przy ze spłnek od kosztu! stoczyły się na parkiet pierwszego gatunku. Mał szczęście, przewodniczący też był człowiekiem. — No, dobrze odwołamy Wam te życzenia, ale nadeszcie paragon kupna robota. Ciesio podskoczył z radością.

Znienim się przeszkoł otrzymano życzenia w koncertach, komisje mają pełne ręce roboty. Odwołania dopiero pozwalają radakom wrócić do normy.

S. K.



Prezes Kółka Rolniczego W. Rutkowski (z lewej) oraz przewodniczący społecznego komitetu budowy drogi A. Jachowicz uzgadniają harmonogram robót.

NIE TYLKO SMAK CZARNEJ KAWY

(Ciąg dalszy ze str. 4)

Micho, uczeń wykazujący duże uzdolnienia malarskie, dostaje się do Technikum Plastycznego w Jarosławiu. Podobnie piękne prace wykonują dziewczęta z kółka dziecięcego.

Do klubu przychodzą starsi, młodzi i ci najmłodszy mieszkańcy Strażowa. Każdy znajduje tu coś dla siebie, na swój sposób odpoczywa oraz rozwija zainteresowania. Ale nie tylko. W klubie rodzą się społeczne inicjatywy. Prezes kółka rolniczego omawia z przewodniczącym społecznego komitetu budowy drogi — bieżące zadania przy kontynuacji robót. Ich zakres jest duży. Zbudowano drogę przez wieś. Wartość czynu społecznego przekracza 2 mln złotych. Rada klubu przekazuje również 5 tys. zł na budowę Domu Oświaty w Zalesiu. Podobnie dyskutuje się o sprawach związanych z budową nowej szkoły podstawowej w Strażowie czy domu kultury, który ma stanąć w najbliższych latach. Nic ważnego we ws-

nie dzieje się bez udziału członków klubu, którego rada ściśle współpracuje z organizacjami politycznymi i społecznymi. Aktywności miejscowych organizacji są również członkami rady, a m. in. sekretarz POP — Tadeusz Wajda, prezes kółka rolniczego — Wincenty Rutkowski, sołtys — Jan Więcek, przewodniczący ZMW — Franciszek Tama oraz z Koła Gospodyń Wiejskich — Domicela Głowiak i Izabela Bałanda. W radzie zasiadają też nauczyciele.

Gdy w ubiegłym roku strażowski klub zostaje zgłoszony do I Ogólnopolskiego Konkursu na najlepszy klub wiejski, wówczas Zbigniew Strażewski w rozmowie z członkami sądu konkursowego stwierdza m. in., że program pracy w klubie nie jest ułożony pod kątem odniesienia sukcesu w konkursie. Przeciwnie w ciągu roku niewiele można zrealizować. Zresztą efekty takie są zawsze krótkotrwałe. W Strażowie praca kulturalno-oświatowa od kilku już lat ma ustalony program,

który jest ściśle powiązany ze środowiskiem, wpływa z potrzeb i zainteresowań mieszkańców wioski. Dlatego są wyniki.

W konkursie też, gdyż Klub Prasy i Książki „Ruch” w Strażowie zdobywa I miejsce w kraju i nagrodę w wysokości 30 tys. zł oraz pamiątkowy emblemat. Również przewodniczący Społecznej Rady Klubu — Zbigniew Strażewski otrzymuje nagrodę. Zbiega się ona z 30-leciem pracy pedagogicznej kierownika szkoły. Zaszczytne wy-



Gospodyni klubu Zofia Strażewska (pośrodku) znana jest z parzenia dobrej kawy.

Fot. M. KOPEĆ

różnienia cieszą. Są najlepszą wizytówką Strażowa, jego działacze kulturalno-oświatowych oraz klubu, w którym mieszkańcy wioski poznają nie tylko smak czarnej kawy.

A. POTASZ